



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

MODLITWA HEKTORA.

Dziewięć lat już stali Grecy pod Troją, dziewięć lat toczyli bratobójczą walkę — o co? o kobietę. Poruszyła się Grecya cała, aby ją wyrzucić, poruszyły narody Azji Mniejszej, aby jej nie dać. Ona sama dziwić się musiała tej cenie wysokiej, jaką na nią nałożono; ale bogowie postanowili wyprawić sobie igrzysko ze śmiertelnych — więc ciągnęła się już wojna od lat dziewięciu i właśnie nastał w niej dla Greków moment wielce żałosny:

Belki naokoło okrętów już gniją i liny butwieją; Nasze zaś żony i dzieci niewinne, co w domu zosiedząc, tęsknią za nami...

[stały,
Uciekajmy z łodziami do łubej ziemi ojczyzny;
Nigdy i tak nie zdobędziem już Troi szeroko-ulicznej — (*)

tak daje się słyszeć sam naczelnny wódz wyprawy — „pasterz i książę narodów“ — król Argolidy, Agamemnon.

Gdyby nie małżonka Zeusa, Hera, — o bujnym ciecie a duszy mizernej, — już-by Grecy odrazu po tych słowach brata menelausowego rzucili byli i Troję i sławę i popłynęli czempredziej z powrotem do ojczyzny. Pobudzona przez Herę Atena odwodzi Achajów od ucieczki i dzięki bogini ma-

drości Menelaus może w *Odysei* pędzić żywot pocziwego ziemianina przy boku odzyskanej Heleny, a świat od dwudziestu kilku już wieków zachwyca się *Iliadą*.

Nowa zatem walka. Agamemnon robi wielki poczet swych narodów i sprawia je w szyki; Trojanie, jak stada żorawi, wylatują z murów. Menelaus dojrzał rabusia swej żony i rzucił się na niego. W Parysie odrazu zakrzepło serce. Zgromiony przez Hektora, wreszcie staje do walki. Pojedynek ma rozstrzygnąć o dalszej wojnie, o prawie do pięknej Heleny i skarbów przeciwnika. Pryam zapytuje synową; ta, złorzecząc Parysowi, przystaje. Przysięgają obie strony; Grecy i Trojanie wylewają wino święte na święty ogień, rzną święte barany. Po ofierze pięknie modlą się i jedni i drudzy, aby im Zeus użył *daru dotrzymania obietnicy*. Historia powszechna takich modlitw łaknie.

Odyseusz i Hektor odmierzają odległość. Zaczyna się pojedynek. Menelaus zwycięża i ciągnie już Parysa do obozu greckiego, kiedy Afrodyte, opiekunka rabunków miłosnych, porywa ulubienca, unosi do Troi i za sromotę w boju nagradza go miłością, przeklinając go właśnie, Heleny.

Menelaus odurzony zniknięciem przeciwnika, daremnie go szukał; szukali go i wszyscy Achaje. Poznali wreszcie tajemną rękę bóstwa, ale, przysięgą związani, stali oko woko Trojanom, wolę i dłoń mściwą trzymając na wodzy. Przychodzi im znowu z pomocą promiennie-oka Here; posyła sówio-oką Palladę, aby skusiła Trojańczyków do naruszenia rozejmu: potem już będą mogli lydokuci Achaje swobodnie bić, zwyciężać i burzyć.

Znalazł się krewki Pandaros, syn Lykaona, i wypuścił strzałę na Menelaję. Ale czuwała nad nim Here i — „jak matka muchę od dziecka, snem słodkim zjętego, odgania“, — tak ona

skierowała strzałę tam, gdzie cios życia zagrozić nie mógł. Połała się jednak z rany krew czarna. Złakł się o brata Agamemnon, ale go sam ranny uspokoił. Za cenę tej lekkiej rany zyskali Grecy rzecz ważną: słuszny powód do rozpoczęcia wojny nanowo.

Pierwszą ofiarą ich męztwa pada nieroztropny Pandaros. Gdyby nie cud dokonany przez Apollina Pergamskiego, padłby i towarzyszył Pandara, Eneas, i nie byłoby wergiliuszowskiej *Eneidy*. Bohaterstwo greckie wciela się teraz w Dyomeda. Posuwa się on jak olbrzym wśród karłów, leci jak uragan, jak lew szarpie, wszystko co napotka. Innemu trawę ściąć trudniej, niż jemu stracić głowę z karku ludzkiego. Ale przed Hektorem staje jak wryty, bo oto dostrzega za nim w tyle samego boga wojny Aresa. Teraz kolej na Hektora: syn Pryamowy ściele pole trupami. Nie słyszy jęku ukochanego Sarpedona z oczyma smutnymi:

Synu Pryama, nie pozwól, bym tutaj na pastwę [Danajom

Został, ale pomagaj. Już potem niech życie po- [stradam

W mieście waszem, ponieważ już nie jest mi prze- [znaczonem,

Abym, wróciwszy do domu i drogiej ziemi ojczy- [stej,

Lubą małżonkę ucieszył i maluczkiego synaczka.

Biedny Sarpedon: umiera tak młodo! Hektor przelatuje po nim, a wraz z Hektorem straszliwy ciągnę Ares. Grecy już ustępują i jeszcze chwil niewiele, a Trojanie weprą ich do morza. Ale znowu, poraż już trzeci, ocala Achajów Hera, i również z pomocą Ateny. Wyrusza z Olimpu na wozie wojennym, ośmiela Dyomeda do natarcia na boga, dosiada jego wozu wraz z Palladą i pędzi prosto na Aresa. Bogini mądrości odwraca

(*) *Iliada*, przekład Pawła Popiela, Pieśń II.

cios wymierzony w Dyomeda. Bohater rani boga, a ten z raną swoją i skargą chroni się na Olimp. Zeus na pożałowanie okrywa go wymysłami. Panowały na Olimpie rozkosze, ale i o dyscyplinie nie zapomniano.

Trojańczycy chwieją się i upadają. Wtedy wróżbita Helenos, brat Hektora, radzi mu czempredzej iść do miasta i dla przeblagania Ateny nakazać ofiarowanie jej najwspanialszej szaty ze skrzyń Hekaby. Najmędrzy z wróżbitów znał gusta kobiet. Hektor, zagrzaszys swoich, odchodzi. W mieście pierwsza spotyka go matka, Hekabe. Zwyczajnie, jak matka, mówi mu: pewno się przyszedł pomodlić do Zeusa; napij się wina, jak miod słodkiego, uciesz się napojem posilnym, bo

Utrudzonemu mężowi sił wiele wino dodaje,
Kiedy, jak ty, się umęczył w obronie narodu i kre-
[wnych.

Lecz on:

Wina, co serce pociesza, nie dawaj mi, matko do-
[stojna,
Ani mnie też rozczulaj, bo siły i męztwa pozbędę.

Powtarza Hekabie radę Helenosa, zamienioną w rozkaz; przeklina brata, za którego tyle krwi już dotychczas popłynęło — a ileż jeszcze potoków jej popłynie!

...bodajby go ziemia

Pochłoneła, bo Zeus go na zgubę wielką Trojanom,
Pryamowi zacnemu i dzieciom jego, wychował.

Gdybym go upadającego do głębi Hadesu zoba-
[czył,
Możeby w sercu o smutnem nieszczęściu zdołał
[zapomnieć.

Helena aż słodkimi słowy musi nakłaniać Par-
rysa do walki, a na widok Hektora budzi się
w niej poczucie winy własnej, żal za przeszłość,
byt idealny w postaci sumienia. Niewiele nam
zostawiła Starożytność równie silnego dramaty-
zmu psychologicznego:

Szwagrze niegodnej kobiety, złowrogi, wieszawę
[niosącej!

Bodaj-by, mnie w dniu onym, gdy pierwszą mnie
[matka rodziła,

Gdzieś tam daleko, portwała złośliwie trąba po-
[wietrzna

W góry lub też na bałwany huczającej groźnie
[otchłani;

Niech-by mnie fala pochłoneła, nim wszystko
[stało się, jak dzisiaj.

Kiedy jednakże bogowie te klęski postanowili,
Czemuż mi nie dano być żoną męża lepszego,
Któryby czuć mógł nienawiść, mógł odczuć także
On nie posiada męztwa żadnego. [i hańbę.....

Boleśniejsza, zjadliwsza, pilniej przez niebo
słuchana skarga, nie może wyjść z ust kobiety.
Przykuć los swój do nicości, tą nicością pogar-
dzać, a przytem pamiętać, że dla niej poświęciło
się dobrowolnie swą istność całą, zburzyło spo-
kój własny, zakłóciło szczęście innych: to temat
dla poety nowożytnego — i jeszcze jak!

Nieszczęśliwa prosi Hektora, by wstąpił i od-
począł po znojach. Wie ona, że te czarne chmu-
ry trosk ona mu napędziła, ona — kobieta niego-
dna, i to ją głównie trapi, że będą „przedmiotem
żałosnych pieśni dla przyszłych pokoleń“. Słowo
wspaniałe.

Hektorowi nie o wypoczynkach myśleć.
Wpada do swych komnat. Andromachy, żony
ukochanej, nie zastaje: pobiegła na najwyższą
basztę, aby wypatrywać małżonka i wzrok posy-
łać za tymi, których już Moira, jednego po dru-
gim, piętnowała. Nie czeka, z żoną się nie żegna,
wybiegać ma już za mury. W tem żona zdysza-
na dopędza go, aby wziąć ostatnie pożegnanie.
Jest to miejsce klasyczne literatury wszech-
światowej. Najwyżsi poeci przetwarzali je swym
geniuszem.

Dziwny! Kiedyś cię zgubi twe męztwo. Ach, nie
[masz litości

Nad niemowlęciem i mną nieszczęsną. Ja wkrótce
[zostanę

Wdową po tobie, bo wnet cię zamordują Achaje,
Napadając pospołem. Zaprawdę-by lepiej mi
[było

Skryć się pod ziemię, gdy ciebie mi zbraknie, bo
[wtedy pociechy

Żadnej nie będzie, gdy ty przeznaczenia swego
[dokonasz,

Tylko żałoba. Już nie mam ni ojca, ni matki
[dostojnej....

O, Hektorze; tyś dla mnie i ojcem i matką
Oraz i bratem... [dostojną,

Hektora przeraża myśl, że po upadku Troi, gdy
już i jego i obrońców jej nie stanie, Achaje
porwą mu najdroższą małżonkę i uprowadzą ze
sobą — a tam, gdy im będzie, jako niewolnica,
wodę ze źródeł nosiła, oni naigrawać się z niej
poczną:

Oto jest żona Hektora, co walką u Trojan
[celował,

Koni poskromców, gdy ongi wokoło Ilionu się
[bili....

„Bodajbym zginął — woła — i ziemia mnie
pierwej mogiłą zakryła, zanim twój głos mnie
dojdzie i wieść, że cię uprowadzono“.

Potem zwraca się do dziecka, które piastunka
za matką przyniosła. Dziecię przelekło się zbroi
i przytuliło do łona nianki. Na to Hektor zdejm-
uje ostrożnie szyszak grzywiasty, bierze dziecko
w ręce, całuje, pieści i taką modlitwę do Boga
zanosi:

Zeusie i inni bogowie! Pozwólcie niech takim
[zostanie

Mój oto syn, by również pomiędzy Trojan
[celował;

Tak nie zużytym był w sile i dzielnie rządził
[w Ilionie!

Niech o nim kiedyś powiedzą: „Owiele jest lepszym
[od ojca“

Z boju, gdy będzie powracał, krwawemi łupy
[obciążon,

Męża strasznego zabiwszy, niech serce matczyne
[pociesza.

W tej prośbie Hektora, aby o niemowlęciu
jego, kiedyś, gdy wyrośnie, mówiono: „Owiele
jest lepszym od ojca“ — mamy jedną z najgłęb-
szych myśli, jakie nam po sobie zostawiła Staro-
żytność, wcale nie tak uboga, jak my pysznymi
jesteśmy, gdy, spozierając na nią z wyso-
kości dwudziestu wieków, szcycimy się swem
bogactwem.

(Dokończenie nastąpi).

DZIECI Z SUTERYNY

przez

BRONISŁAWA GRABOWSKIEGO.

OBRAZEK Z ŻYCIA.

(Dokończenie).

Dzieciatko odwraca się i wolnym krokiem od-
chodzi ku drzwiom.

Pannie Zofii serce ścisnęło się w piersi.

Toż-to maleństwo samo jedno odchodzi nieob-
darowane, niepokieszone, niewesolone... wydzie-
dziczone.

— Czeka, mała! — woła panienka. — Co to
za jedna?

— To Hanusia, córka tej wdowy z suteryny —
odpowiada służąca.

— To ty, biedaczko, już nie masz ojca? — py-
ta z rozrzwiniem panna Zofia.

— Ale ma, ma... tylko...

Anastazy gryzie się w język. Są rzeczy, któ-
rych nie można mówić młodej panience, choćby
ta już nawet z krótkich sukienek wyrosła.

— To ty nie dostałaś nic? — pyta.

Dziecko nie daje odpowiedzi; zresztą dziwne
pytanie, przecież widać, że ją pominięto zu-
pełnie.

— Anastazy, tam są jeszcze pierniki i jabłka;
przyniesie je dla Hanusi. Ale, ale, jest tam su-
kienka, co była dla Kasi robiona.

Służąca przynosi pierniki, jabłka i sukienkę.

— Będzie pasowało na nią... w sam raz jak
chomąto na krowę — robi złośliwą uwagę.

— Zobaczmy. Kto wie?

Po przymierneniu pokazuje się, że stanik za
diugi, tylko w plecach w sam raz; za to spódnicz-
ka wlecze się po ziemi.

— Eh, dobra będzie... będzie sobie chodziła
jak pani na balu... z ogonem — szydzi Ana-
stazy.

Panna Zofia zmarszczyła się na służącą.

— Przynies-no mi igłę z nitką, przyfastrzy-
guję jej tymczasem. A po świętach, mała, przy-
niesiesz mi sukienkę, to się całkiem na ciebie
przerobi.

Zanim służąca z igłą wróciła, panna Zofia
przygarnia dziecko do siebie i przypatruje się jej
uwaznie. Dziwny dzieciak! brzydki nawet —
czoło wygięte ku przodowi, nosek tępy, twa-
rzyczka blada, a jednak pełna, jakby balana.
Tylko zpod jasnych brwi wygląda dwoje oczu
wielkich, niebieskich, smutnych jak sieroctwo
i krzywda, ale dobrych jak niewinne cierpienie,
zda się błagających niemo o litość, o miłość,
o przygarńnięcie.

Biedne dziecko! Córka wdowy i ojca, co chodzi
po świecie.

Młodziutka panienka ledwie w połowie pojmu-
je smutne znaczenie podobnego położenia, a je-
dnak serdecznie współczuje tej sierocie nie-
sierocie.

Mój Boże, tyle wieków ze zgrozą i pogardą
marszczyło się na takie dzieci, że od dzie-
wianastego już im się chociaż litość i prawa ludz-
kie należą.

IV.

Od tego czasu dziwny stosunek zawiązał się
pomiędzy panną Zofią z parteru a małą Hanusią
z suteryny.

Serce kobiece musi kochać — od dzieciństwa
uczy się tej sztuki. Najpierw kocha się mamę,
która pieści, ojca, który przynosi cukierki i cia-
stka, nianię, co do snu długie i dziwne bajki opo-
wiada, potem lalkę, posłuszną córeczkę, pieska,
co tak zabawnie służy i łapkę podaje. Potem
w szkole kocha się koleżanki, adoruje się którą
z guwernantek, a potem... potem.. wszelkie przy-
wiązania, upodobania, adoracje, przyjaźni słab-
ną, blakną, usuwają się nieznacznie na bok, bo...
bo... powstało nowe uczucie, uczucie miłości dla
jakiegoś przystojnego, dobrego, snadź także za-
kochanego chłopczyka.

Nieraz obok tych wszystkich uczuć stopniują-
cych się, przechodzących jedne w drugie, je-
dnych drugim ustępujących miejsca, nastaje
jakieś rozszerzenie serca; zaczyna kochać ono lu-
dzi, niejednokrotnie wszystkich ładnych, boga-
tych, wesółych i śmiejących się, czasami... cza-
sami... biednych, obszarpanych, smutnych i płą-
czących.

Panna Zofia Kotleńska jeszcze nie zdążyła pokochać chłopczyka. Doktor Malczewicz nie gniewałby się, gdyby on stał się przedmiotem tej miłości — kiedy jej młode, gorące serce zostało pociągnięte ku sferze biednych, cierpiących, wydziedziczonych. Takie uczucia rodzą się w sercach ludzkich; istnieją one, nie tylko w żywotach Świętych Pańskich, chociaż tak rzadko spotykamy je w życiu, tak rzadko dziś czytamy o nich w książkach, dzięki... nowej szkole belletrystycznej.

Panna Zofia objęła sercem te biedne istotki, które rosną, spożywając pokarmy, nie takie, jakie higiena przepisuje dla dziecięcego wieku, okryte są sukienkami nieskrojonemi na nie, chorują bez recept doktorskich i lekarstw aptecznych. Niema dla biednych wsparć i darów, lubo co może, to im daje, ale zawsze miewa dla nich dobre, słodkie spojrzenie, uśmiech przyjazny, słowo życzliwe — dary z bogatej skarbnicy, którą Bóg złożył w każdej duszy ludzkiej i z której kazał szafować wspaniałomyślnie, rozrzutnie.

Ze wszystkich tych biednych dzieci, które garnęły się teraz do niej, ilekroć zjawia się na podwórzu, jak poddani, dążący składać hołd swemu władcy, najczęściej pokochała Hanusię, dziecko jedno z tych, na które tyle wieków marszczyło się z pogardą i zgrozą moralną.

Zawsze sobie przypominała, jak ta biedna, brzydka i nieśmiała istotka co wieczór wiliwny stała smutna u drzwi, patrząc na inne dzieci odchodzące wesoło, z podarunkami, a sama nie dopominała się niczego, nie prosiła o nic.

Teraz Hanusia zbliża się śmieiej, robi dyg taki zabawny, całuje panienkę w rękę i, poglądając na nią swymi wielkimi, niebieskimi a zawsze smutnymi oczyma, mówi:

— Ja pójdę do pani.

Panna Zofia bierze dziecinę za rękę, prowadzi do siebie, daje Hanusi jakiś przysmak, czasami książeczkę z obrazkami i pozwala niebożatku rozkoszować się tem, co jemu więcej sprawia zadowolenia, niż niejednemu amatorowi oglądanie galerii obrazów.

Kiedy biedaczka odchodzi, po jej oczach i mince poznać, że panna Zofia podarowała mu chwilę niewysłowionej, rajskej rozkoszy.

— Panienka zbałamuciła tego bę... bębna — mówi oburzona Anastazyja. — Ciągłe mi przylatuje do sieni i przez szparę we drzwiach do kuchni zagląda.

Zajrzeć choć przez szparę do tego Eldorado, gdzie mieszkają ludzie, co jedzą pierniki i cukierki i czytają książki z obrazkami — co to za rozkosz dla dziecka z suteryny!

V.

W maju państwo Kotleńscy wyjechali na wieś. Gospodarze, dawni znajomi, byli radzi gościom; pogoda przecudna; dzień za dniem upływa, że ani obejrzyć się, jak noc nadchodzi — czyż dziwne, że spędzili tam kilka tygodni?

Wrócili w połowie Czerwca.

Od tygodnia panują zwrotnikowe upały — państwo Kotleńscy wysiadają z bryczki zgrzani i spoceni.

— Tylko nie pij zimnej wody, Zosiu — ostrzega pani Kotleńska.

Przed bramą stoi wdowa i smutnym wzrokiem pogląda na wysiadających.

— Gdzie Hanusia? — pyta panna Zofia.

— Chora panienko, bardzo chora — doktor powiedział...

Panna Kotleńska nie słucha dalej.

— Anastazyo — woła, wbiegając do kuchni — idź zaraz po pana Malczewicza.

— Ah, państwo przyjechali! Jakże się panienka miewa?

— Później, później... teraz idź po doktora.

— A do kogo, panienko; kto zachorował?

— Do tej małej Hanusi z suteryny... idź, proszę cię... idź.

— Eh, do Hanusi... jej ta już doktor na nic... Już ta był i powiedział... a tu państwo przyjechali... taka pilna robota...

— Idź... idź... wszystko Jan zrobi...

Ledwie zdołała wypchnąć służącą z kuchni...

Co żywo biegnie do suteryny.

Nieprędko znalazła izdebkę wdowy.

W izdebce oświeconej słabo małym okienkiem z góry, ubogo, pusto. Wielkie łóżko stoi z jednej strony, z drugiej kilka stołków, stół o trzech nogach i wielki piec z kominem bliżej drzwi. Dwa czy trzy barbarzyńskie obrazy Świętych, pędzla jasnogórskiego, wiszą na ścianie.

Na kominie pali się ogień, garnek stoi przy ogniu.

W izdebce gorąco od letniej atmosfery i ognia, a przytem tłoczący piersi zaduch, świadek wilgoci, która nawet w głębi lata takich mieszkań nie opuszcza.

Na łóżku leży Hanusia.

— Ma... mamó, mamó — bełkocze w gorączce.

— Cicho, cicho, Hanusiu — mówi matka, nie wiedząca, co robić: czy stać przy kominie, czy iść do dziecka, czy witać niespodziewanego gościa?

— Mamó... mamó... ja pójdę... do panienki...

— Pójdiesz, pójdiesz, gdy wyzdrowiejesz.

Panna Zofia zbliża się do łóżka nieśmiało, z obawą... z przerażeniem pogląda na dziecinę czerwoną jak rozpalone żelazko, z oczyma na wpół tylko otwartymi.

— Panienka tu — bełkocze Hanusia.

— Gdzie? — mimowoli wymknęło się szeptem pannie Kotleńskiej.

— Gdzie? — powtarza głośniejszą matką.

— Tu... tu...

I Hanusia wyciąga rączkę, ale całkiem w przeciwną stronę, ku ścianie. Snadź nie widzi już niebieskimi, smutnymi oczyma stojącej nad nią panienki, ale okiem ducha dojrzała od strony ściany w jej postaci anioła stróża, czekającego na jej niewinną duszyczkę.

Pannie Zofii serce rozrywa się w piersiach. Pierwszy raz w życiu znalazła się wobec tragicznej grozy śmierci. Los oszczędzał jej dotąd tego widoku, nikt z najbliższych nie umierał w jej oczach. Dziadek i babka odeszli na drugi świat jeszcze przed jej urodzeniem, Pan Bóg ojca i matkę chowa przy życiu i zdrowiu, a nie dał jej ani siostry, ani braciśzka, którzyby cieszyli ją swą miłością, współnictwem zabaw i wesela, a może rozdarli jej serce przedwczesnym zgonem.

Dziecina leży w milczeniu czas jakiś, tylko oddech jej coraz słabszy.

— Mamó... pa... panien... mamó... — bełkocze.

W tem otwierają się drzwi; do izdebki wpada doktor, a za nim Anastazyja.

Doktor jest zły, zniecierpliwiony.

— Powiedziałem, że się na nic już moja pomoc nie przyda. Po co mnie było wołać? po co? Zresztą — dodaje, biorąc Hanusię za rączkę — skończyło się.

Teraz spostrzega stojącą przy łóżku panienkę. Widocznie wstyd mu się zrobiło, bo zaczyna usprawiedliwiać się.

— Znowu wezwano mnie zapóźno. Zresztą sami sobie winni. Na taki upał puszczały dziecko z gołą głową: przepaliło głowę, a przytem nie dali jej prędkiej pomocy... Już tu jestem niepotrzebny... Ale, ale, co pani jest? co pani tak pobladła?

Rzeczywiście, panna Zofia, okropnie blada i drżąca na całym ciele, stoi przy łóżku i patrzy osłupiała na wdowę, klęczącą przy zwłokach i łkającą rozpaczliwie.

— Chodź pani ztąd, chodź! — mówi doktor — to nie na pani zdrowie.

I uprowadza elegancką pannę za rękę, która idzie za nim jakby zamagnetyzowana i tylko słyszy, jak w sionce Anastazyja prawi do jakiejś baby kumoszki:

— Powinna Panu Bogu podziękować... Przecież i tak ten dzieciak był dla niej tylko ciężarem i wstydem.

Biedna Hanusia! Więc i XIX wiek marszczy się na takie dzieci z pogardą i zgrozą moralną!

VII.

— Doktorze — mówi panna Zofia, leżąc w łóżku chora — to ja zabiłam tę dziecinę... Zabiłam tę i tamtą... Już mi tak przeznaczone, że, do czego tylko się przywiążę, temu zgubę przynoszę... kwiat schnie, gdy go sobie upodobałam.

Doktor gładzi elegancko uczesaną brodę i uśmiecha się ironicznie. Zmierzył gorączkę, pokazało się na termometrze 39 stopni i sześć dziesiątych — nie dziwnego, że przy takiej gorączce pacjentka bredzi i majaczy.

Uspakaja jednak rodziców.

— Zmęczenie podróży przy takim gorącu... wzruszenie tam w suterynie... ale pomoc była natychmiastowa... wszystko będzie dobrze.

Młoda panienka słucha i myśli sobie: dlaczego tej natychmiastowej pomocy nie było dla tych dwojga biednych dziewczątek?

— Sami sobie winni — mówi w duszy — jedną zaziębili w zimie, drugą wypuszczali na słońce z gołą głową.

Mój Boże, toż tam w szafie leży tyle starych kapeluszy, obdartych z wszelkiej ozdoby, porzuconych, nieużytecznych. Najgorszy, najbardziej pognieciony i połamany, byłby głowę biednej Hanusi od przepalenia ochronił. A dla tamtej byłby się znalazł jakiś stary kaftanik, z którego wata już wyłazić poczęła.

— Sami sobie winni — myśli znowu chora — nie postarają się o pomoc lekarską we właściwej chwili, nie wzywają doktora, albo dopiero wtedy, gdy już zapóźno.

Istotnie, skoro ubogi zachoruje, zlatują się kumoszki, ta daje pić ziółka, ta smaruje sadłem, tamta uroki na węglach odczynia; a dopiero, gdy już nic nie pomaga, idą do doktora, aby im powiedział, że... już zapóźno. Sami sobie winni!

A jednak dla czego nikt z inteligencji nie powie tym nieszczęśliwym, aby dali pokój tej zabo-bonnej, guślarskiej igrasce, kiedy idzie o życie; dlaczego nie sprowadzi im doktora, który przecież biednemu da poradę bezpłatnie i nawet przy recepcie napisze uwagę: *pro pauperibus*?

W drugim pokoju Anastazyja opowiada szczegóły pogrzebu Hanusi. Wdowa zastawiła kaftan zimowy, kupiła wódki, upiekła placek; kumowie i kumoszki zeszli się przed pogrzebem, jedli i pili i utyskiwali nad żalosną biednej matki stratą.

— Już to u nich taki zwyczaj — mówi pani sędzina — choćby zastawić rzeczy, choćby wyprze-dać się, a mieć na stypę, żeby ludzie nieboszczyka do grobu odprowadzili.

— A dla żywego na doktora i aptekę żalują — wtrąca oburzony pan Kotleński.

— Żli, twardzi ludzie! — myśli chora. Biedna Hanusia! Za tę wódkę i ciasto miałyby pomoc, choćby opłaconą, i nie trzeba byłoby spraszać ludzi, aby ją na cmentarz odprowadzili.

— Żli, twardzi, nieludcy! — mówi do siebie chora. — Nie... nie... może tylko ciemni i nędzą zgubieni.

Przez głowę przechodzi jej myśl, że kwiat delikatnych uczuć jest także sam przez się delikatny, potrzebuje choćby pokojowej temperatury, a w izdebce, w suterynie lub na poddaszu, zwiędnie, zeschnie lub skarłowacieje.

Koło łóżka coś się zakręciło i zaszeleściło. To Miluś biega niespokojnie. Stanął na dwóch łapach i wpatruje się w chorą swą panią.

Dobra, poczeiwa, przywiązana psina rozumie, że jego pani cierpi. Dwa światy, psi i ludzki, częstokroć lepiej rozumieją się między sobą, aniżeli te dwa odłamy człowieczego rodu, które tak często mieszkają pod jednym dachem, przedzielone od siebie tylko warstwą desek i muru, co dla jednych jest... podłogą, a dla drugich... sufitem.

VII.

W kilka dni potem w altanie ogrodowej siedzieli państwo Kotleńscy z córką, pani sędzina i pan doktor Malczewicz.

Panna Zofia wyszła z domu poraz pierwszy i doktor nie tylko wypuścił ją z pokoju, ale nawet zalecił jej przebywać jaknajdłużej na świeżym powietrzu.

Na stole Anastazyja postawiła samowar kipiący, szklanki i inne przybory—pani Kotleńska zakrzętała się koło herbaty poobiedniej.

Doktor muska wykwinutą brodę i mówi ze słodko-ironicznym uśmiechem do swej pacjentki:

— Ma pani naukę, panno Zofio, żeby nie przejmować się niczem zanadto. Śmierć jest rzeczą... przykrą, nawet powiedziałbym... bardzo smutną, ale trudno! Ci ludzie żyją w takich warunkach, że... istotnie procent śmiertelności musi być owiele znaczącym między nimi, aniżeli między inteligencją. Zwłaszcza względem dzieci statystyka lekarska wykazuje liczby... istotnie... zatrważające.

Pani Kotleńska podaje doktorowi szklankę herbaty, pan Kotleński częstuje go arakiem.

— Gdyby ci ludzie—ciągnie doktor po pewnej przerwie—mieli zwyczaj zasięgać w czas porady u właściwego lekarza... ale cóż? kiedy oni wierzą więcej guślarzom, znachorom aniżeli nam. Obowiązkowo inteligencji jest nauczać te ciemne masy, aby w kwestyi tak cennej, jak zdrowie i nawet... życie, nie narażali się tak lekkomyślnie na niebezpieczeństwo. Zresztą nie zawadziłoby wskazać im nieraz, jak mają urządzać sobie życie zgodnie z przepisami higieny.

Panna Zofia słucha i po bladej twarzy i świeżących oczach znać, jak tę całą kwestyę przyjmuje do serca.

— Zresztą—zabiera znowu głos doktor—bardzo wiele chorób u nich kończy się na prostym położeniu się do łóżka i użyciu jakiegoś domowego, najczęściej obojętnego środka. Tylko, że na karb tych domowych środków...

Tu doktor łyknął herbaty i zagryzł sucharkiem. Koniec frazesu wraz z sucharkiem wpadł do żołądka.

— Byłoby to wcale niezłym—znowu mówił doktor—a nawet... istotnie bardzo pożytecznym, gdyby ci ludzie łączyli się w pewne stowarzyszenia, wnosili jakąś małą opłatę, za którą mieliby poradę na zawołanie i lekarstwo po niższej cenie. Bo... istotnie taka pomoc z łaski... jako jałmużna...

Panowie z parteru, z pierwszych i drugich piętrowych tak znakomicie pomysłowi w... projektach!

Pani sędzina wszczęła teraz rozmowę na temat naszych prababek, które mieszały u siebie całe apteczki i dawały pomoc właścicielom swoim i innym ludziom ubogim...

— I ekspedowały chorych na tamten świat—dorzucił doktor szyderczo.—Medycyna, proszę pani, to taka nauka, że w niej nie można poprzestać na zacierpieniu kilku haustów: cały pułk trzeba wychylić do dna.

Panna Zofia pyta teraz nieśmiało, z bijącym sercem:

— A czy nie można osiągnąć takiego stopnia wiedzy, żeby poznać: czy u nich choroba da się zwalczyć domowymi środkami, czy też trzeba koniecznie uciec się do pomocy lekarskiej?

Doktor spojrział na nią pobłażliwie—szyderczym wzrokiem i roześmiał się głośno.

Czy to pytanie... istotnie było tak śmiesznym?

K O N I E C.

PRZEGLĄD MALARSKI.

Przyjemnie mi jest, czytelniczko, powitać cię dziś na warszawskim bruku. Poprzednie moje „przeglądy“ szukać cię musiały po Tatrach i Alpach, nad zielonym Bałtykiem i nad szafirami jezior włoskich, u źródeł wreszcie jodo-bromowych i wśród tych przystani chorego ducha, które się zowią „stacyami klimatycznymi“. Dziś spowiadać ci się mogę ze swych wrażeń bezpośrednio, a tem szczerzej i śmieiej, że ich sama równocześnie zemną doświadczasz.

Goniąc po szerokim świecie za czystym powietrzem, pięknymi widokami i uzdrawiającą wodą, co krok niemal spotykałaś pani malarzów, zbierających do tek swoich szkice i studia. Lato jest dla każdego z nich epoką siewu; jesień i zima czasem zbiorów. Słoneczne miesiące spędzają twarz w twarz z przyrodą, podpatrując jej piękności plastyczne, śledząc tajemnice uroków, wsłuchując się w duszę nieśmiertelnie piękną i nieśmiertelnie żywą. Jak ty zapas zdrowia, tak oni zapas wrażeń na rok cały przysposabiają.

Śledząc zawiązki natchnień malarskich, chciałabyś pani z kolei zobaczyć dojrzałe ich owoce—na to jednak dziś jeszcze za wcześnie. Artysci otrząsnęli już wprawdzie kurz podróży z obuwia i płótna na ramach rozpięli, ucieleśnianie jednak wrażeń i przetapianie złotej rudy natchnienia na czysty i błyszczący metal jest pracą mozolną i dłuższego wymagającą czasu.

Dzięki uczuciowemu wykonaniu, niewielki obraz pana Trębacza, sprawia dość silne wrażenie. Twoje zwłaszcza serce, czytelniczko, wzruszy on z pewnością.

P. T., którego znałem dotąd wyłącznie, jako doskonałego pastelistę, przekonał mnie swym obrazem, że równie biegle włada pędzłami jak kredą. Co prawda, kolorystowi „Rekonwalescentki“ zbywa nieco na blasku i soczystości, ta jednak przejrzysta, bladeja mgła, która obraz przesłania, a którą posługują się niekiedy i uznani mistrze, że wspomnę tylko Gabryela Maxa, zdaje się tu użytą rozmyślnie w celu uwydatnienia smętnego nastroju całości.

Za tą mgłą oko umiające patrzeć dostrzega dramat życiowy, powszedni a wstrząsający. Z jakiejże to choroby podnosi się ta młoda, wątła, o miłym a bolesnym wyrazie twarzy, dziewczyna? Niestety! chorobie jej na imię: rozpacz; kryzys zaś, którą świeżo ze biedna istota przeżyła, nazywają nowiniarze dziennikarscy: „zamachem zamobójczym“...

Wszystko to artysta zlekka tylko zaznaczył, unikając, nie tylko melodramatyczności, ale nawet zbyt realistycznego akcentowania szczegółów. O katastrofie mówi nam niewielka krwawa plamka na skroni, woda na miednicy nieznacznie krwią zabarwiona, list, który chora czyta w łóżku, a wreszcie otaczające ją ubóstwo. Nożyczki zawieszane na gwoźdźniku objaśniają, że mamy do czynienia z pracownicą igły, jedną z tych, które Moloch wielkiego miasta najczęściej na żer wybiera. Ofiara to własnego niedoświadczenia i cudzej podłości, instynktów naturalnych i społecznych zastrzeżeń. „Nie pierwsza, i nie ostatnia!“—powiedziałaby z cyniczną rezygnacją Mefisto....

Obraz pana T. zniewala do zadumy i budzi refleksy, zakres więc jego wpływu wybiega daleko poza ciasne kółko, jakie malarstwu zakreślają głosiciele najnowszych haseł, wyłączający ze sfery sztuk plastycznych wszelką „treść literacką“. Ci panowie, usunawszy z malarstwa epos, sielankę i dramat, unicestwiwszy rodzaj religijny i historyczny, i wykławszy całą dziedziczną fantastykę, sprowadziliby w końcu wszystkie cele artystyczne do jednego, a mianowicie: do od-

twarzania natury pod zmysły podpadającej. Ale zapewne na królowanie tych radykałów w sztuce dość jeszcze długo poczekamy...

„Rekonwalescentka“, jest obrazem doskonale skomponowanym. Uznali to sędziowie wystawy paryskiej, nagradzając pana Trębacza medalem brązowym. Artysta zrozumiał prawdę—prostą, a jednak dla wielu niedostępną—że, gdy obserwujemy człowieka, którego uczucia głównie nas obchodzą, zwracamy najwięcej uwagi na jego twarz, mniej znacznie na jego ubiór, a już najmniej na otaczające go sprzęty. Zgodnie z tem wykończył on najstaranniej i najlepiej oświetlił postać bohaterki, z której znowu najwierniej przemawia do widza twarz jej, a raczej: wyraz tej twarzy. Wyraz to pełen ujmującej słodyczy i tego rodzaju cierpienia, które budzi szczere współczucie. Widz o kłiwem sercu zadaje sobie mimowoli pytanie: jak można było pierś takiej gołębiej istoty okrutnie zakrawać? jak można było nie zadrzeć wobec samego majestatu niewinności i słodyczy?

Podczas, gdy twarz „Rekonwalescentki“ i jej wychudła, bardzo znamienna ręka starannie są modelowane i wyraziste, reszta postaci i całego wogóle obrazu tonie w owej, wspomnianej już mgle, która ją matuje i na plan dalszy spycha. Obraz wskutek tego wydaje się niedomalowanym i formalisty może niezadowolnić. Co do mnie, zarzuciłbym artyście jedynie zbyt jednostajne traktowanie ścian, sprzętów i poscieli, oraz zbytnią ciastowatość draperyj, rażącą szczególnie na kołdrze.

Czy p. Piątkowski w swym obrazku „Nad Tykicem“, chciał być impresjonistą? Pozory za przypuszczeniem tek przemawiają, sądzę jednak, że tak nie jest w rzeczywistości. Prawdopodobnie artyście szło tylko o odtworzenie na płótnie podpatrzonego w naturze efektu mglistego, jesiennego ranka, kładącego na wszystkim barwę ołowianą. Na nieszczęście, pośpieszna widocznie notatka okazała się niewystarczającą i obraz tylko szkicowo zaznacza to, co miał wypowiedzieć.

Jest to chwila przed wschodem słońca. Mętne, nieprzejrzyste opary czołgają się po ziemi i wodzie, wypełniając całe płótno ponurą szarzyzną. Z szarzyzny tej wyzierają tylko zielone kity oczeretów, wyłaniają się też z niej dwie postacie, również, co prawda, szare i mgliste: pastuska wiejskiego i pastuszki. Chłopiec rozpałił ognisko, aby rozgrzać zziębnięte na chłodzie porannym członki; dziewczyna nadchodzi z głębi, niosąc chrust dla podsycenia ognia. Gdyby nie rażąca szkicowość i widoczne malowanie z pamięci, obrazek ten mógłby być bardzo ładną sielanką na tle niezwykłego, a pełnego spokojnej melancholii, pejzażu.

P. Wacław Pawliszak, który ongi zadebiutował wiele obiecującym „Podarunkiem hetmańskim“, nie wychodzi odtąd z rozpaczliwie ciasnego kółka kilku kostiumów i kilku ruchów końskich, kopiując pierwsze ze swej podręcznej szatni a drugie z odbitek fotografii natychmiastowej. Zrobił on sobie też specjalność z rysunkowej i kolorystycznej brawury w rodzaju Brandta lub Fortuny'ego, zastępuje ją wszakże częstokroć nienaturalną przesadą i krzykliwością.

Znajduje się na wystawie kilka utworów pana P., wszystkie jednak wyglądają na wariację jednego i tego samego tematu. Na każdym niemal spotykamy białego konia, który jest ultramarynowym w cieniach, na każdym jest basza, lub hetman, albo też obaj razem, każdy wreszcie jeży się ostrzami spis kozackich, lub tatarskimi buńczukami.

Z samego specjalizowania treści nie czynilibyśmy artyście zarzutu, jest ono bowiem właściwością niektórych, pierwszorzędných nawet talentów; gorzej, że p. Pawliszak posługuje się jednym zawsze szablonem przy opracowywaniu swych obrazów, wskutek czego są one do siebie bliźniaczo podobne i wyglądają, jakby je nawzajem ze siebie przemalowywano.

Artysta świadomy jest zewnętrznej, dekoracyjnej strony przedstawianych scen, ducha jednak

epoki i ludzi nie odgadł. Jeżeli klucza doń nie daje mu intuicja talentu, szukać go on powinien w księgach starych, w wycieczkach na Wschód, w rozpamiętywaniu zdarzeń historycznych, a wreszcie w dziełach Brandtów, Kossaków, Matejków i innych podobnych. Jak dotąd, poznał tylko lupinę przedmiotu; smak ziarna jest mu jeszcze obcy.

Co się tycze samego malowania, (które, wedle wspomnianych kilkakrotnie niektórych doktrynerów, jest *alfa* i *omega* wszelkiego obrazu), razi ono u pana Pawliszczaka jednym błędem zasadniczym: posiada charakter zupełnie akwarelowy. Te wszystkie bladuróżowe, bladoniebieskie, perłowe i słomkowe barwy, w których się artysta lubuje, — wyglądają na obrazie olejnym i w kompozycji rycerskiej, jak zabot koronkowy na ussazru. Twórca „Atamana zaporozkiego“ i przeróżnych „Fantazji“, ubiega się upornie za tężyzną; rzeczywistej jednak dziarskości, wigoru, animuszu, na płótnach jego nie widać. Więcej w nich szamotania się, niż rozmachu.

Jak natomiast szczerym i prostym, a silnym i głębokim, jest Chełmoński w swym najnowszym pejzażu, który przedstawia kawałek stawu, zarosłego białym grzębieniem (*Nymphaea alba*)! Nakształt odlewów brązowych, powstałych od od jednego „rzutu“ — *d'un seul jet* — nakształt piosenek ulotnych, których ostatnia zwrotka rodzi się w umyśle poezji współcześnie z pierwszą, obraz Chełmońskiego nosi znamię mistrzowskiej improwizacji, błyskawicznego odbicia się przyrody na płótnie. Dodajmy: odbicia uduchowionego, przepuszczonego przez pryzmat duszy myślącej i czującej.

Woda na tym pejzażu, malowana zwyczajnie i poprostu bez żadnych sztuczek malarzsko-szarłatńskich, posiada niezrównaną świeżość i przejrzystość. Oddala się ona wybornie, gładka, jednostajnie szafirowa i najłżejszym podmuchem wietrzyka nie wzruszana. Leżą na niej cicho sercowe liście grzębienia, (a leżą *na płask*, jak w naturze), białe zaś kwiaty przeglądają się w niej, jak w zwierciadelku. Wrażenie ciszy i spokoju potęgują jeszcze dwie przezroczyste, bezcielesne niemal wałki, które nad stawem unoszą się bez szmeru.

Jedną tylko zrobiłbym uwagę: obraz ten — tak samo zresztą, jak wszystkie poprzednie w tymże rodzaju prace Chełmońskiego — sprawia wrażenie rzeczy niedopowiedzianej, wrażenie, które nas podnieca i niepokoi. Przeciwnie to jest umysłowi ludzkiemu, aby poprzestawał na oglądaniu wszechświata w ułamkach, na cale, czy łokcie kwadratowe odmierzonych; dąży on zawsze do ogarnięcia choćby względnej całości. Ramy takich fragmentarycznych pejzaży, zdają się zakrywać widzowi ich dalszy ciąg i dokończenie; szuka on instynktownie reszty tego poematu natury, którego pierwszy rozdział mu pokazano, nie znalazłszy zaś jej, czuje się podrażnionym, a nie nasyconym.

I dlatego, choć te piękne ułamki uważać trzeba za śmiałą i bardzo szczęśliwą nowość, wyzwalającą pejzaż z dawnej, zbyt ciasnej i zbyt formalistycznej, rutyny, nie można w nich jednak widzieć ostatniego słowa malarstwa krajobrazowego. Zastrzeżenie to jest konieczne zwłaszcza dla naśladowców Chełmońskiego, nieposiadających, ani jego talentu, ani artystycznej miary.

Wiktor Gomulicki.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż w Sierpniu 1890 r.

Dalszy ciąg atmosferycznych awantur. — Paryż w lecie. — Ci, co tu zostali, i ci, co wyszli. — Paryż, jako stacja letnie-

go sezonu. — Peregrynacja Paryżanina. — Paryż w tej chwili. — Migracja Anglików. — Nędza i jej skutki fatalne. — Dzwane pomysły ratunku. — Bieda i fałszerze biedy. — Co robić? — Pani Ackermann i jej śmierć. — Kilka wspomnień o talencie i osobie. — Zaręczyny księcia Pawła Sapiehy z panną Branicą. — Epithalamium. — Nowe książki. — Emila Gebharta „Historia odrodzenia religijnego w Wiekach Średnich“. — Stendhala „Henryk Brulard“, nowe wydanie przez p. Stryjeńskiego. — „Amerykanie u siebie“, przez panią San Carlos de Pedrosa — Nowa powieść St. Rzewuskiego „Alfredyna“.

(Dokończenie).

Teraz, kiedy teatru zamknięte, kiedy wypadki dają folę poszukiwaniom kronikarza, pozostaje mi dać odpawę nowym książkom: niektórym przynajmniej, które oddawna zalegają honorowe miejsce na moim stole, a którym daję pewne znaczenie, albo wierność przedmiotu, albo doskonałość utworu, albo wreszcie ten powód specjalny, że są dziełem, albo Polaka, albo ko biety. Bez takich wyjątków przy tej powodzi literackiej, jaka tu panuje — możecie być pewni, — nie tylko rozmiar mej kroniki, raz w miesiąc, ale nawet przeciąg lat kilku nie wystarczyłyby na to.

Zaczynam od dzieła, które się zaleca ważnością przedmiotu i ważnością osobistą autora. Jest to *Historia odrodzenia religijnego w Wiekach Średnich*, przez Emila Gebharta, profesora paryżskiego fakultetu literackiego.

Aby zrozumieć ważność i doniosłość tej książki, oraz to, co zmuszeni jesteśmy powiedzieć o niej otwarcie, — niech mi wolno będzie przytoczyć tu słowa, które sam autor poleca czytelnikom swe dzieło:

„Przedsięwziąłem studium nad historią religijną we Włoszech, w Wiekach Średnich. Wyłączyłem sposób, w jaki bardzo wcześniej Włochy powzięły wyobrażenie Królestwa Boskiego i drogi, która doń prowadzi; niesłychana swoboda myśli, z jaką traktowały dogmat i posłuszeństwo (discipline); biegłość, z jaką potrafiły pogodzić wiarę z naturalizmem; nakoniec niepokój, jakiego doznały nieraz wobec Kościoła Rzymskiego — i prawo, jakie sobie przywłaszczają, ukazywać jego słabe strony bez żadnej litości, karcieć jego gwałtowność i wstrząsnąć nieraz jego ambicją: oto, jaką jest ta oryginalna religia Włoch, religia Piotra Damiana, Arnolda z Brescii, Joachima de Flore, Świętego Franciszka, Jana z Parmy, Fra (braciszka) Salimbene, Świętej Katarzyny, Savonaroli, Cantariniego i t. d.“

Widzimy zaraz jasno z tego, że autor jest uczniem szkoły Renana, i że tu wytworne ozdoby stylu i pewna erudycja służą mu, nie do postawienia trwałego i prawdziwego gmachu historii, ale do zniszczenia i zwalenia tego, co się przez tyle wieków opierało straszynem i gwałtownym atakom nędziowiarów. Jest to przytem dzieło prawdziwie francuskiej szkoły, gdzie forma, łatwość pisarska i pewna jasność wykładu, okupują niedostatek prawdy i umyślnie fałszowanie faktów.

Główne miejsce w tym studium, obejmującym 327 pag., zajmuje *mystycyzm* — to główna, pryncypalna nuta całej tej książki — *mystycyzm*, który autor zna całokształt lepiej, niż inne części przedmiotu; ale wytlómaczyć sprawiedliwie i jasno, w jaki sposób ten rodzaj religii praktykowali święci, których widzimy kroczących na równi z rewolucjonistami i schorzałymi umysłami pewnych wybitnych osobistości średniowiecznych: tego nam nie daje autor, a ja, dla braku miejsca, rozwodzę się tu nie mogę nad tym przedmiotem.

Ale dowcipny i biegły professor, jako dyalektyk, gotuje nam inne jeszcze niespodzianki; z przełaju wdaje się w komentarz Pisma Świętego, — zwłaszcza w to, co nazywa ciemnościami „widzącego“ (visionaire) piszącego Apokalipsę (pag. 52 i 297); tłómaczy S. Augustyna i S. Bernarda i pozwala sobie, zapomocą pewnej siebie i wszystkiego nauki, równie przeciwnej scholastyce i konkluzjom kazuistyki, rozprawić szeroko o dogmacie i etyce religii katolickiej.

Od pierwszej do ostatniej kartki tej książki powtarza on nam ciągle, że Kościół, począwszy od szóstego wieku, oddalił się zupełnie od swego pierwotnego posłannictwa, że sam nawet Grzegorz VII był nagabany, bardziej niż kto inny, pożądliwością władzy świeckiej (pag. 9.). I oto wskazuje nam Arnolda z Brescii, Cesarza, epikurejczyka i racjonalistę Fryderyka II, Braterstwa (Fratricelle), Spirytualia i Dante'go, pracujących wspólnie nad sprowadzeniem Kościoła na pierwotną drogę!

Nie zaprzeczam bynajmniej i chętnie przyznaję, że co do faktów, p. Gebhart posiada i zna historię Wieków Średnich; ale sprawiedliwość obowiązuje powiedzieć mu, że sądy jego, skoro tylko się dotyka do Kościoła S-go Rzymskiego — a dotyka się doń na każdej niemal karcie — noszą na sobie piętno przesady, niewiedomości i błędu. Podobne są one do prawdy, jak dusza buntownicza i skulona Fryderyka II podobną jest do duszy S-go Franciszka z Assyżu. Jeśli p. Gebhart chciał dowieść, iż nie jest doktorem w sprawach Kościoła, może sobie pozwolować — dopiął tego celu; ale aby mówić o wizjach, ekstazach i miłości czystej według Kościoła — nie dosyć jest nauki i wiedzy, zaczerpniętej z Renana i ojca Jacente'go. Trzeba też czegoś więcej, niż stylistyki i ornamentacji uniwersyteckiej.

„Habeant sua fata!“ — książki i ludzie. Jest w literaturze francuskiej pisarz znany pod pseudonymem *Stendhal*; małą zostawił spuściznę; jak dotąd, był to dziennik podróży do Kartuzji, i rodzaj romansu, pod tytułem: *Rouge et Noire*. Jest to pewien rodzaj fenomenu, bo psycholog i razem racjonalista z pierwszych lat XIX wieku. Znalazł on wśród swoich gorących wielbicieli i straszliwych przeciwników. Pogodzić te dwie sprzeczności byłoby próżnem usiłowaniem: sitem wodę mierzyć — czego dowodzi dalszy ciąg literackiego turnieju, który trwa dotąd i odnowił się właśnie z powodu wydania nowego dzieła tego pisma z manuskryptów przechowanych w bibliotece w Grenobli.

Co do mnie, nie lubię ani człowieka, ani pisarza; nie brałbym pióra dziś do ręki, gdyby nie ta dziwna okoliczność, że wydawcą i wydawcą benedyktyńskiej pracowitości jest nasz rodak p. Kazimierz Stryjeński; urodzony we Francji i wychowany na francuskim chlebie — jest on dziś profesorem przy liceum w Grenobli i jednym z najgorliwszych wielbicieli Stendhala.

Książka ma tytuł: „La Vie d'Henri Brulard“. Powiedzmy tu zaraz, że to jest pewien rodzaj autobiografii, bo Stendhal nazywał się rzeczywiście: Henryk Beyle — z kąd z małą zmianą stał się Brulard — bo autor, chorując na manię, iż jest prześladowany i śledzony przez policję, wszystkich używał sposobów, aby się ukryć i podejrzenia na siebie nie zwracać.

Ale wracam do rzeczy. P. Stryjeński dokonał, jak się pokazuje, niezmiernie trudnego dzieła, — bo według jednego z biografów Beyle'a, sam on był zaledwie w stanie odczytać własne pismo, a ponieważ umykał ciągle przed policją i starał się ją w błąd wprowadzić, ztąd więc w manuskryptach jego niesłychane nadużycie skrótów i odsyłaczy najdziwniejszych, przekładanie kartek i paginacji najfantastyczniejsze i znaków kabalistycznych na marginesach.

To też powiada jeden z przyjaciół p. Stryjeńskiego, że ten ostatni długie lata poświęcił grzebaniu się postarłych zapomnianych i nieczytelnych papierach.

Ten benedyktyński trud p. Stryjeńskiego wydał trzy tomy nieznanego Beyle'a: „Dziennik młodości“, powieść niedokończoną „Lamiet“ i nakoniec „Życie Henryka Brularda“. Sam autor na pierwszej kartce tak pisze: „Niema nic politycznego w tej powieści, plan jej jest następujący: Człowiek exaltowany w każdej mierze, zniechęcony i zrażony stopniowo, kończy, poświęcając się ubóstwianiu hoteli (sic).“ „Na szczęście — powiada p. Stryjeński — że ta mistyfikacja Beyle'a kończy się na tej pierwszj kartce tytułu i dalszy ciąg nosi cechy prawdziwego talentu.

„Każdy talent — powiada dalej wydawca — jako

odrębny organizm, ma swój wiek dojrzałości; przed przyjściem tego wieku jego późniejsze zalety są tylko wadami, a po tym wieku, teżsame zalety stają się prawdziwą manią. Alfred de Musset i Lord Byron,—byli to geniusze lat dwudziestu. Czy wyobrażacie ich sobie, przeżywających zamlodu wiek miłości? Beyle—utrzymuje p. Stryjeński—był to geniusz czterdziestu pięciu lat, któremu potrzeba było doświadczenia, aby jego potęga rozwagi nie biła się w próżni—jak się to stało w dzienniku“.

Jakkolwiekby, według mnie szkoda, że p. Stryjeński tyle czasu drogiego poświęcił tego rodzaju pracy—wiele mozołu, a mało korzyści. Jak powiadam—pretensjonalny, manierowany Beyle niewiele wart, jako pisarz, a jako człowiek: dosyć przytoczyć własne jego słowa, pisane do Mérimée'go: „Kiedy wchodzimy w życie, nasi rodzice i nauczyciele są to nasi najwięksi wrogowie“—wywierając tę starą prawdę, a słodsza, a miłsza dla pocziwego serca: *Parentibus et Praceptoribus nunquam satis*.

Kończąc, powtarzam: nie pisałbym o tem, gdyby ta książka nie była owocem pracy naszego uczonego rodaka, a z żalem patrzę, że go losy na cudzą, jałową zagnały niwę.

Tyle już pisano o Ameryce, iż zdawałoby się, że to jest przedmiot wyczerpany,—otóż nie: miary i końca niema inteligencji ludzkiej, kiedy ta idzie z żywego źródła, uczucia lub rozumu. Najlechtszy włóczęga światowy—turyista, jak ich tu nazywają,—który choćby miesiąc czasu przepędził w Neapolu i w okolicach, uważa się obowiązany powierzyć publiczności swoje wrażenia, najczęściej redukując się do następnych spostrzeżeń: „Wszystko jest daleko droższe w Ameryce, niż w Europie. Widziałem tłumy ludzi na wszystkich ulicach, *tables d'hôtes* zapchane są podróżnymi—tam i napowrót okropne morze: zmiłuj się, Boże!“

Na szczęście, obok tych naiwnych zwierzeń znajdują się i prawdziwe, *dokumentalne*. Niema co, trzeba przyswoić sobie ten okrutny przymiotnik! Książki, uczące nas i osławiające ze zwyczajami, obyczajami i społeczeństwem ludu, tak całkiem różnego od Europejczyków, przynajmniej powierzone.

Jedną z tych rzadkich książek jest dzieło pani San Carlos de Pedrosa, pod tytułem: *Amerykanie u siebie*; napisane oryginalnie pofrancuzku, zawiera ono pełno spostrzeżeń i wiadomości zupełnie nowych. Nie bierzcie, proszę, tego wyrażenia oryginalnie pofrancuzku, w tem znaczeniu, że to jest francuzczyzna, dziwna, oryginalna: chciałem tylko powiedzieć, że pani Pedrosa, Hiszpanka rodem, napisała swą książkę pofrancuzku.

Co do tak pochlebnego zdania, jakie wyraziłem o tem dziełku, nie jest to tylko moje osobiste przekonanie, ale jest to głos powszechny, a na pierwszym miejscu należy tu zapisać nazwisko „The right honorable Sir John S. Bigelow“, znakomitego męża stanu i literata amerykańskiego, a ex-pośła Stanów Zjednoczonych we Francji.

Chcąc dać wyobrażenie jasne i prawdziwe o tej książce, musiałbym chyba przepisać wszystko, bo każdy tu rozdział zasługuje na uwagę. Ale niech mi wolno będzie zwrócić waszą szczególną uwagę na kilka rozdziałów tej książki, poświęconych wyłącznie studjom kobiet i młodych dziewcząt amerykańskich. Rozdziały te, pisane przez kobietę, która umiała patrzeć i widzieć jasno i tłumaczyć swoje wrażenia w sposób, nie tylko oryginalny, ale nowy i jej samej właściwy. mam nadzieję, że sprawią czytelnikom, którym ta książka do ręki się dostanie—równą przyjemność, jakiej doznał wasz kronikarz.

Wskażę tu zarazem i te rozdziały, które są poświęcone stosunkom rodzinnym, rozmaitym wyznaniom,—mormonizmowi naprzykład,—w których nieskończona ilość form i sekt, wytwarza tam tak dziwną różnorodność. Jednem słowem: jest to książka ciekawa, poważna ucząca, i zasługuje na to, aby była poleconą w sposób szczególny czytającym i myślącym kobietom.

Zostaje jeszcze na półce powieść „Alfredyna“

p. Stanisława Rzewuskiego. Chciałbym to odprawić w kilku słowach, ale widzę, że jestem na końcu dozwolonego mi obszaru. Zamykam więc słuzy kałamarza i dodam tylko, że czytelnicy nie na tem nie tracą: książka ta, jest to siostrzyczka poprzednich tego autora utworów—młode piwo!

HYPNOTYZM. (1)

Z dwóch głównie stanowisk objaśniać można sen hypnotyczny: jednego z nich dostarcza psychologia, drugiego fizjologia. Według D-ia Alberta Moll'a fizjologia mózgu nie stoi dziś jeszcze na takim stopniu rozwoju, aby na jej podstawach wyłącznie można było opierać objaśnianie zjawisk hypnotycznych. Uczeń rozchodzą się dziś jeszcze w bardzo wielu punktach, gdy bowiem jedni utrzymują, że zjawiska hypnotyczne zależne są od zwiększonej drażliwości substancji mózgowej, inni twierdzą wprost przeciwnie t. j. że zależą od zmniejszonej wrażliwości. Potrzeba zatem uzbroić się w cierpliwość i poczekać aż nauka w tej zawilej, a ze wszelkim miar ciekawej kwestyi wyrzeczy ostatnie swe słowo.

Co do psychologicznych teoryj hypnotyzmu to i one nie mogą się poszczycić wielką trwałością, a mówiąc bez ogródki, bardzo wiele było między nimi wprost fałszywych. Wypada więc tymczasem powstrzymać się z ostatecznymi wnioskami; nie nadszedł jeszcze czas, aby można coś stanowczego powiedzieć, i dlatego nie będziemy przytaczać najsprzeczniejszych poglądów, jakie się względem hypnotyzmu z psychologicznego punktu widzenia wytworzyły.

Wypada tu słówko powiedzieć jeszcze o zaburzeniach ruchowych, które w bardzo wielu przypadkach stanowią jedyny objaw hypnozy.

Do wywołania zaburzeń ruchowych wystarcza często samo uprzedzenie, że one się wydarzą, a z chwilą objawienia się w umyśle takiej gotowości do stanu hypnotycznego, gdy np. nastąpi mimowolne zamknięcie powiek, rozwija się zaraz u danej osoby usposobienie do biernej niemocy, do poddania się, skutkiem którego już inne, dalsze zaburzenia ruchowe wywołane być mogą z wielką łatwością.

Doniosłego znaczenia dla hypnozy jest udawanie (*simulatio*). Jeszcze wcale nie dawno—to czas, gdy wszystkie zjawiska hypnotyczne uważano za udawanie, tymczasem nie podlega wątpliwości, że tak nie jest. Wyrokować zaś o tem mogą jedynie specjaliści, t. j. ci, którzy zajmowali się hypnotyzmem i posiadają w jego zakresie wiele doświadczenia. Dzieje się tu coś podobnego, jak z symulacją chorób umysłowych, a to tembardziej, że stan hypnotyczny pod pewnemi względami jest także zboczeniem władz umysłowych (psychozą). Dobrze wiadomą jest rzeczą, jakie trudności przedstawia odróżnienie rzeczywistego obłąkania od udawania, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z przestępcami. Otóż zupełnie tak samo bywa z hypnotyzmem. Wskazówki, jakimi się kierować należy są najrozmaitsze. Zwrócić potrzeba baczną uwagę na sposób poruszania się, wyraz twarzy, złudzenia zmysłowe, rozbudzanie się i na wiele innych momentów, które po największej części doświadczonemu badaczowi pozwolą rozpoznać stanowczo sen hypnotyczny prawdziwy od udanego.

Co do istoty hypnotyzmu, to jedni uczeni uważają go za rodzaj snu fizjologicznego, gdy inni zapatrują się na hypnotyzm jako na stan choro-

bowy. Bezwątpienia silne uśpienia hypnotyczne z możliwością wywoływania złudzeń zmysłowych przedstawiają bardzo wiele podobieństwa do snu fizjologicznego, chociaż ruchy w tym ostatnim są o wiele mniej liczne niż w hypnozie. Lżejsze zaś stany hypnotyczne, objawiające się jedynie zaburzeniami ruchowymi nie mają właściwie ze snem naturalnym nic wspólnego. Określenie hypnozy jako psychozy nie jest właściwem z tego powodu, że, jak widzieliśmy w poprzednim artykule, w czasie snu hypnotycznego możliwe jest poddawanie myśli, co u chorych umysłowych stanowi zjawisko wyjątkowe. Wprawdzie przez poddawanie myśli uśpionym można wywoływać obrazy, mające wiele podobieństwa z obłędem, pomimo to różnicę stanowić będzie zawsze łatwość, z jaką udaje się skutecznie poddawanie myśli w uśpionych snem hypnotycznym.

W początkach zajmowano się przeważnie hypnotyzmem w celu zaspokojenia ciekawości, jaką on we wszystkich obudził; w ostatnich dopiero czasach podjęto poważne studia zarówno teoretyczne, jak i praktyczne, w celu wyciągnięcia z nich prawdziwego pożytku dla nauki.

Hypnotyzm, jako zabawka, nie jest wcale tak niewinnym, jakby się zdawać mogło. Wszelkie *seanse* domorosłych hypnotyzerów przedstawiają dla zdrowia ich mediów poważne niebezpieczeństwo. Niejednokrotnie wydarzały się smutne wypadki, i dlatego bardzo racjonalnie wszelkie eksperymenty w tym rodzaju zostały prawnie wzbronione.

Hypnotyzm jako środek leczniczy stosują już dziś pierwszorzędne powagi, że wspomniemy tu tylko o Krafft-Ebing'u i Charcot'cie, a prócz tego utworzyło się za granicą wiele towarzystw, uprawiających hypnotyzm z tej jego właściwie naukowo-praktycznej strony. W początkach uciekano się do niego z wielkim niedowierzaniem, a opozycja występowała nawet ze strony mężów nauki w całym znaczeniu tego słowa. Od tego czasu przekonano się dowodnie, że w niektórych wypadkach, gdy pigułki, hydropatya, elektryczność i t. p., nie sprowadzają wyzdrowienia, chorzy uleczonymi być mogą za pomocą hypnotyzmu, a raczej przy pomocy *żywego słowa*. Każdy uważny i sumienny badacz przyznać musi, że są to rzeczy najzupełniej możliwe. Znany jest fakt, że człowiek codziennie podlega wpływom mowy albo namowy, jakie słyszy, albo otrzymuje w postaci rad, czy też rozkazów; że one bezwarunkowo oddziałują w pewnym stopniu na stan psychologiczny; że tylko w rzadkich wypadkach usłyszana mowa wchodzi, jak to powiadają, jednem a wychodzi drugim uchem, częściej pewien ślad pozostaje z niej w umyśle. Następstwem tego mogą być ważne zmiany, jeżeli nie w całym organizmie, to przynajmniej w systemacie nerwowym, a że za pośrednictwem tego ostatniego nie trudno podzielać na różnorodne sprawy życiowe, tego chyba dowodzić nie potrzeba, wszystkie bowiem nasze czynności, bądź dobrowolne, bądź mimowolne, pozostają w ściślejszej zależności od systemu nerwowego. Otóż siła ta zwróconą być może do uregulowania, że tak powiem, pewnych zaburzeń w stanie zdrowia, co osiągać się daje bardzo często przez poddawanie myśli. Ale, jak zwykle bywa, zwolennicy hypnotyzmu posunęli się od razu do ostateczności i zaczęli stosować hypnotyzm jako *panaceum* t. j. przeciwko wszystkim chorobom i, naturalnie, spotkali na swej drodze liczne niepowodzenia i zawody. Nikt ze specjalistów, zapatrujących się na hypnotyzm z racjonalnego punktu widzenia, nie uważa go za *panaceum*, nie będzie go stosował na chybił trafił, bez dokładnie określonych wskazań. Kto postępuje inaczej, ten naraża przede wszystkim chorego na pogorszenie zdrowia, nie mówiąc już o stracie czasu, a potem dyskredytuje naukę. Rozumie się, że hypnotyzm nie poskutkuje, jak zresztą i inne środki lecznicze, w ciężkich cierpieniach organicznych; nie podlega jednakże wątpliwości, że w bardzo wielkiej liczbie tak zwanych funkcyjalnych chorób nerwowych, można osiągać, nawet tam, gdzie żadne inne środki lecznicze działają już skutecznie nie mogły, zupełne, albo przynajmniej czę-

(1) Zobacz Nr. 32 Błuszczy z r. b.

ściowe wyleczenie. Liczne doświadczenia wykazały, że pomyślne rezultaty za pośrednictwem hypnotyzmu, *resp.* poddawania myśli, osiągnięte być mogą w jankaniu się, szumie w uszach, nerwobólach różnego rodzaju, w hysteryi, w zatruciach przewlekłych wyskokiem, morfiną, w migrenie i t. p. Tego rodzaju cierpienia bardzo często zmniejszały się w natężeniu, a nawet ustępowały nieraz nazawsze.

Przeciwno stosowaniu hypnotyzmu jako środka lekarskiego wystąpiły liczne zarzuty, które jednakże nie posiadają żadnych podstaw poważnych, a to tem więcej, że bardzo wiele z nich odnieść można i do innych, tegoczesnych sposobów leczenia. Przyjrzyjmy się niektórym zarzutom. Twierdzą, że hypnotyzm jest szkodliwy. Bez wątpienia nie jest to środek niewinny, i dlatego już wyżej wskazywaliśmy, iż nie należy z niego robić zabawki i stosować go bez ścisłych wskazań. Wszakże bardzo wiele lekarstw stanowi gwałtowne trucizny, gdy zostaną zażyte w niewłaściwej dozie i bez racjonalnych wskazań, a pomimo to wszyscy je z potrzeby zażywamy i osiągamy przy ich pomocy dodatnie rezultaty. Niewiele jest takich środków, któreby niewłaściwie zażyte pozostały bez szkodliwych wpływów. Podobnie i hypnotyzm, gdy zastosowanym zostanie niewłaściwie, może zaszkodzić, i dla tego leczenie hypnotyzmem powinno być w zupełności pozostawione lekarzom - specjalistom, którzy potrafią wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa usunąć. Co do innych zarzutów, jak np., że za pośrednictwem hypnotyzmu nie podobna otrzymać trwałych rezultatów, to nie posiadają one dość silnej podstawy, albowiem praktyka wykazuje ich niesłuszność; a wreszcie wszakże i innymi sposobami leczenia niezawsze udaje się osiągnąć stałą poprawę albo zupełne wyleczenie. Hypnotyzm bardzo często, przynosząc tylko czasową ulgę albo wyleczenie, oddaje wielkie usługi cierpiącej ludzkości; jeżeli udaje się choremu przy jego pomocy chociażby na pewien czas usunąć nerwoból, zakłócający spokój, niepozwalający ani na chwilę swobodnie odetchnąć, jest to już rzeczą wcale nie do pogardzenia, a tem więcej, że hypnotyzm nie pociąga za sobą tak szkodliwych następstw, jak np. morfiną, stosowana w postaci wstrzykiwań podskórnych.

Zapatruiąc się na tę sprawę najzupełniej bezstronnie, nie podobna nie przyznać, że dłuższe stosowanie hypnotyzmu, zwłaszcza w wypadkach, gdy nie posiadamy dla niego niezbędnych wskazań, może ujemnie oddziaływać na organizm; że w niektórych razach chorzy mogą się do niego przyzwyczaić w takim stopniu, iż stanie się on dla nich niezbędnym, podobnie, jak pijakowi wyskok a morfomanowi morfiną: pomimo to jednakże przyznać należy, że w hypnotyzmie posiadamy już środek leczniczy, który w przyszłości prawdopodobnie odda cierpiącym nieocenione usługi.

Nie podobna nie przyznać, że hypnotyzm wykazał nam w lecznictwie nowy zupełnie czynnik, czynnik psychiczny; tymczasem do ostatnich czasów posługiwaliśmy się jedynie czynnikami fizycznymi i chemicznymi.

Niezmierną doniosłość przedstawia także hypnotyzm w sądownictwie. Sądono nawet przez pewien czas, że cała procedura sądowa, wskutek możliwości poddawania myśli do wykonania zbrodni zostanie zachwiana. Liégeois z Nancy starał się wykazać przy pomocy całego szeregu doświadczeń, że można zmusić za pośrednictwem poddawania myśli do otrucia i innych zbrodni. I tak, strzeliła pewna dziewczyna do swej matki z rewolweru, sądząc, że rewolwer jest nabity kulą, tymczasem zawierał on tylko ślepy ładunek. Obawy jednakże Liégeois były przesadzone, jeżeli nie zupełnie płonne. Przekonano się z późniejszych badań, że nie każdego, nawet bardzo głęboko uspiętego, można zmusić do popełnienia zbrodni przez poddanie myśli. Bardzo ważną rolę w podobnych razach odgrywa charakter człowieka; kto posiada stałe zasady, silny charakter—ten nie łatwo ulegnie woli poddającego uspiętemu czyn zbrodniczy. Przyjść do tego może jedynie wówczas, gdy usypianie i poddawanie myśli odbywa się często, gdy poddamy jaką osobę tak nazwaną *tresurze hypnotycznej*. Nie podlega wą-

tliwości, że przez poddawanie myśli można zmusić swoje *medium* do popełnienia czynu karygodnego; nie mniej jednakże jest rzeczą pewną, że możliwość tę zanadto dziś zwolennicy hypnotyzmu uogólniają w faktach, jakoby już niewzruszonych.

Uwagę zwracać potrzeba, nie tylko na te następstwa, które mogą być popełnione przez osoby uspięte, lecz także i na te, które mogą być wykonane na osobach uspiętych. Sądy niejednokrotnie roztrząsały sprawy, w których chodziło o różnorodne gwałty wykonane na osobach uspiętych snem hypnotycznym. W każdym razie wydarza się to stosunkowo bardzo rzadko, albowiem zbrodniarze-usypiacze wiedzą z pewnością dobrze, iż w uspiętych świadomość i pamięć nie zostają w zupełności zniesione, że mogą oni po rozbudzeniu się przypomnieć sobie, co zaszło podczas snu.

Sądźmy, iż z powyższego czytelnik potrafi sobie urobić pojęcie o naukowem stanowisku, jakie w ostatnich czasach zajął hypnotyzm. Bardzo wiele do zrobienia jeszcze pozostaje, i dlatego byłoby rzeczą wielce pożądaną, aby największa liczba osób przychodziła w pomoc w wyświeślaniu tego ze wszech miar zajmującego zjawiska natury.

Dr. Józef Starkman.

Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż współdział kobiet w wystawie suszonych jarzyn i owoców, mającej się odbyć w Październiku, jednocześnie z wystawą nasion, zapowiada się bardzo licznie.

— Lekarski departament w Petersburgu poruszył kwestyą zawodowego wykształcenia lekarzek chorób kobiecych, które obecnie, zwłaszcza u praktykantek wiejskich, jest niedostateczne i wskutek tego są one więcej szkodliwe, niż użyteczne. Program, ściśle określający dane potrzebnych im wiadomości naukowych, zostanie wkrótce w sferach rządowych wypracowany i ogłoszony.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności przyznało z zapisu ś. p. Tekli Rapackiej pięciu podupadłym na siłach nauczycielkom i trzem szwaczkom od 3 do 5 rs.

— P. Zofia Roszkowska założyła w Warszawie szkołę bon i piastunek. Pozwolenie rządowe nie dopuszcza tu przyjmowania uczennic ze stanu nauczycielskiego, oraz nie zezwala na żadne wykłady w postaci lekcji i nauczania języków obcych. Zadaniem zakładu jest obznajmianie, jak należy postępować ze starszemi i młodszemi dziećmi, oraz zapoznanie, tak bon, jak piastunek, z metodą freblowską, co następnie będą mogły stosować do zajęć i zabaw dzieci, powierzonych ich dozorowi.

— Zakład tokarski dla kobiet otworzyła w Warszawie panna W...

— Józefa Niżewska, siostra miłosierdzia, pełniąca w Kielcach przy szpitalu miejskim obowiązki opiekunki na salach kobiecych, umarła na tyfus który jej się udzielił od żydówki, pielęgnowanej z poświęceniem po nocach. Zmarła liczyła niespełna lat czterdzieści, pochodziła z okolic Witebska.

— Budowa domu schronienia dla dziewcząt w Łagiewnikach pod Krakowem, prowadzona przez budowniczego Miarczyńskiego, zostanie ostatecznie ukończona i oddana na użytek publiczny d. 1 Lipca roku przyszłego. Instytucja ta powstaje z dobroczynnego zapisu księcia Lubomirskiego.

— Projekt Szkoły Gospodyń Wiejskich, opracowany na żądanie Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego przez dyrekcję Szkół Rolniczych w Dublinach, przedstawia następujący plan szko-

ly: I. Kurs nauk zawodowych teoretycznych i praktycznych dwuletni, a jedynie w tym razie, gdyby zakład uzyskał subwencję rządową, można dodać rok trzeci, poświęcony ćwiczeniom praktycznym. II. Głównym środkiem nauczania powinny być zajęcia praktyczne i w tym celu szkoła powinna koniecznie posiadać: krowiarnię, mleczarnię, obejmującą wyrób masła i serów, hodowlę trzody chlewnej oraz drobiu, ogród warzywny i sad owocowy, wszystko w połączeniu z budynkami gospodarskimi, odpowiednio dla celów szkoły urządzone. III. Kierownictwo naczelnie i główną administracją szkoły należy oddać osobie, posiadającej odpowiednie gospodarstwo, a to dlatego, że materiału do robót, wchodzących w zakres gospodarstwa domowego dostarczyć może w stosunkach miejscowych tylko dom zamożny. IV. Kierownictwo dydaktyczne poruczone być winno nauczycielowi zawodowemu. W szkole dwuletniej personal nauczycielski powinien się składać z jednego nauczyciela zawodowego i zarazem dydaktycznego kierownika szkoły z płacą 1400 zł. ren. rocznie, z drugiego zawodowego nauczyciela pomocniczego, z płacą 700 zł. ren., lub odpowiednio uzdolnionej ochmistrynii; z dwóch dozorczyń a zarazem instruktorek robót kobiecych. Prócz tego powinien być stale dojeżdżający do zakładu katecheta i lekarz z pensją 240 zł. ren.: „Nauczyciele stali potrzebowaliby zamieszkiwać w zakładzie; nauka teoretyczna nie powinna zajmować więcej nad 21 godzin tygodniowo, a to ze względu, aby uczennice miały dość czasu na praktyczną naukę tych wszystkich czynności, które są koniecznie połączone z gospodarstwem domowym, przy czem koniecznem jest objaśnianie im celu, tak tych prac, jak i sposobów takiego, a nie innego, ich wykonywania.

Kosztorys projektowanej szkoły, bez wydatku utrzymania uczennic w internacie, obliczyli sprawozdawcy na 5.250 zł. ren.; potrzeba też, aby grosz publiczny przyszedł z pomocą tak pożytecznej instytucji, i wydział krajowy postanowił zażądać kredytu do wysokości 3.500 zł. ren., na subwencyonowanie szkoły gospodyń, z warunkiem, że będzie ona urządzoną i prowadzoną przez założyciela według wskazanego planu, a wtedy i skarb państwa przyczyni się do jej utrzymania dotacją roczną najmniej 2.000 zł. ren. wynoszącą. Do tego postanowienia skłoniła sferę rządzącą uwaga, że szkoła, kształcąca pomocnice pań, na wsi gospodarujących, przyczyni się do wzmożenia dobrobytu ogółu, przyczem przecież dodaną tu została uwaga niepoehlebna dla pań owych. Oto „dzisiejsze panie mniej są wtajemniczone w tajniki gospodarstwa“. Potrzebowały zatem założyć dla nich szkołę taką, która dałaby im poznać, że tego, co jest obowiązkiem, opuszczać się nie godzi nikomu, a tu rzecz dotyka powinności obywatelskiej i rodzinnej zarazem.

Przy rozprawach nad tym przedmiotem dzienniki miejscowe podniosły myśl, aby zakład wychowywał na owe „pomocnice pań“ w gospodarstwie domowym, sieroty.

W Czechach i na Morawach, oraz w Austrii Górnej istnieją od lat kilku szkoły gospodyń, ale te kształcą wyłącznie gospodynie włościanki, mające gospodarować we własnej rodzinie na małym kawałku roli. Że i tu umiejętność racjonalnego prowadzenia gospodarstwa domowego jest rzeczą wielce pożyteczną, nie ulega wątpliwości.

— Angielska filantropka, miss Headon, założycielka szkoły lekarzek chorób kobiecych w mieście Newhampton-Severn, postanowiła po dziewięcioletniem jej trwaniu ramy dobroczynnej działalności swej rozszerzyć i założyć *Szkołę Pracownic Domowych*, to jest służ: „Domestic College“. Już od lat kilku pełniło się tu praktycznie za staraniem zacnej pani przysposabianie dziewcząt z klas pracujących do tego zawodu, przez nauczanie gospodarstwa domowego, najpierw w ochronie, urządzonej na sposób ogródka freblowskiego, a następnie w dwuklassowej szkółce elementarnej. W ochronie dzieci rodzin pracujących przebywają niemal dzień cały i pierwsza nauka odbywa się tam na zabawkach, naśladowujących gospodarstwo domowe. Są tu miniaturowe pokoje

z miniaturowymi sprzętami i dziewczynki ścielą tu łóżka, na których śpią lalki, nakrywają stoły także dla śniadań i obiadów lalek; następnie sprzątają je, myją naczynia, porządkują pokoje i tym sposobem dziewczęta z ludu obznajamiają się z układem życia i gospodarstwa domowego klas wyższych. W szkółce elementarnej, która przedstawia tu drugą klasę nauki, uczą się — zawsze na odpowiednich modelach — prania, prasowania, czyszczenia podłóg i okien, w ogóle tego wszystkiego, co w domach rodzinnych klas wyższych dokonywa się w pewnych odstępach czasu. W klasie trzeciej tej nauki, to jest w wyższym oddziale szkoły elementarnej, nauka gotowania łączy się z nauką kupowania wiktuałów na targu miejskim, nianczenia dzieci, zabawiania ich roztropniejszego, oraz służby pokojówek, czyli tak zwanych *młodszych*, a mianowicie: jak należy obok dokonywanej pracy zachowywać się wobec swych pracodawców i osób, przybywających do nich w odwiedziny, a mianowicie jak otwierać gościom drzwi i odpowiadać na ich zapytania, oznajmiać lub mówić, że niema państwa w domu, obsługiwać przy stole. W klasie czwartej tej nauki, która obecnie przedstawiać już będzie szkołę właściwą: *Domestic College*, miejsce modeli zajmą sprzęty i materiały rzeczywistego użytku w gospodarstwie domowym — przyjdzie prawdziwe pranie, prasowanie, gotowanie i tym podobne zajęcia, robota domowa, tylko na małą skalę, dalej szycie i cerowanie, krój bielizny, sukni, najpierw dla dzieci, następnie dla dorosłych, poczynając od fasonów najprostszych i postępując do coraz wykwintniejszych.

Miss Headon urządziła w Maju bieżącego roku publiczną wystawę, nietylko przedmiotów pracy wykonywanej przez uczennice, jak przebiegu nauki, stopniowania jej, poczynając od klasy pierwszej, i uzyskała takie uznanie, że wiele szkół i szkółek miejskich postanowiło naśladować jej metodę. *Szkola pracy domowej* przyjmować będzie uczennice od skończonych lat szesnastu. Oddział I-y pomieści dziewczęta płacące za kurs kwartalny znaczną już sumę 10 funtów sterlingów, i te oprócz nauki gospodarstwa domowego słuchać będą wyższych wykładów naukowych. Oddział II-gi składać będą dziewczęta, płacące całorocznie 12 funtów, i te pobierać będą obok nauki gospodarstwa naukę stopnia średniego; w oddziale III, prostych sług: kucharek i pokojówek udzielać będzie nauka elementarna. Znaczna liczba pań z najwyższego towarzystwa angielskiego stowarzyszyła się ze szlachetnymi zamiarami miss, i lady Anna Knightley, oraz hr. Strafford zostały vice-prezydentkami zakładu.

— M-rs Henrykowa Sidwick wydała w Londynie broszurę o 100 stronnicach, zawierającą szczegółowe wiadomości o stanie zdrowia kobiet, które studyowały na uniwersytetach angielskich: *Health statistics of Women Students of Cambridge and Oxford, and of their Sisters*. Zadaniem książki jest wykazać, że wyższa nauka nie wpływa szkodliwie na zdrowie kobiet, że zatem kobieta może bez nadwężenia sił pracować na polu naukowem. Słabowite oszczędzać się tu powinny tak, jak na każdym polu pracy, przy każdym układzie życia, który stać się może dla mniej silnych wyczerpującym, a tu trzeba zaliczyć przede wszystkim bale, tańce, długie czuwanie po nocach, ścisnąjące gorsety i zbyt lekką odzież. Dane statystyczne wykazują, że stan zdrowia byłych studentek jest nawet lepszym, niż ogólnie kobiet innych, a to z powodu, że posiadane wiadomości z zakresu higieny dają im

możność racjonalniejszego obchodzenia się ze zdrowiem, tak swoim, tak i rodzin swoich, dzieci. To ostatnie twierdzenie nie może być jeszcze statystycznie dowiedzione, jak tłumaczy się autorka, ponieważ rzecz jest względnie nowa i wpływ czasu nie dostateczny jeszcze na podobne studia. Dzienniki angielskie odpowiedziały autorce, że kobiety nie potrzebują udawać się do uniwersytetu po to, aby się tam zapoznać z wiadomościami higienicznymi, bo obecnie już nawet w szkołach ludowych higiena jest wykładaną i corocznie wychodzi pewna liczba książek, pisanych przez specjalistów, którzy usiłują oświecić pod tym ważnym względem ogół.

— W Uniwersytecie Oxfordzkim zaszły na ostatniem przedwakacyjnem zebraniu rady uniwersyteckiej bardzo żywe debaty: czy przyjmowanie kobiet na regularne studia jest rzeczą pożyteczną lub szkodliwą? Ponieważ przeciw statutu uniwersyteckiego, dopuszczającego kobiety do studiów, otrzymał zatwierdzenie ministeryum oświaty, zatem wniosek usunięcia ich upadł. Niemniej prof. Case postanowił głos swój przeciwny uniwersyteckiemu studyowaniu kobiet ogłosić drukiem. Przy głosowaniu nad pytaniem: czy statut obowiązujący nie powinien co do tego punktu ulegć zmianie? — większość głosów była po stronie utrzymania obecnego stanu rzeczy. Za dopuszczaniem kobiet do studiów było głosów 75, przeciwnych im 58. Stypendya pozwalające studentkom niezamożnym przebyć długie wakacje w Oxfordzie i korzystać ze znajdujących się tam pomocy naukowych, biblioteki uniwersyteckiej i zbiorów nagromadzonych w gabinetach, zostały zaraz ustanowione w sumie 1.100 fs. i delegaci Uniwersytetu rozpisali zadania konkursowe: z historii angielskiej, z literatury angielskiej, z nauk przyrodzonych i ekonomii politycznej. Po rozpatrzeniu prac konkursowych przyznano sześć stypendyów, a jest rzeczą godną uwagi i wskazującą do pewnego stopnia

kierunek umysłów kobiecych, że wszystkie przypadły studiom historycznym. Między należącymi do składki na utworzenie konkursu znajdował się obok innych profesorów: Max Müller, oraz znany magnat angielski, margrabia Ripon. Kobiet przyłożyło się tu tylko dwie: siostry Harris.

— W Nowym Yorku przeszedł znaczną większość głosów bill, stanowiący, aby w każdym domu obłąkanych, gdzie przyjmowane są i kobiety, znajdowała się kobieta doktor. Pisma angielskie fakt ten podniosły z uwagą, że Europa powinna przyjąć podobny porządek rzeczy.

OD WYDAWCY.

„Bluszc” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się Arkusz 7-my i 8-my powieści pod tytułem: *Administrator*, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY i HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Józefa Starkmana

Zeszyt XIII-ty wyszedł z druku i zawiera między innemi: **Mlecz kręgowy, mleko, moda, modelowatość, monokl, morfina, morwa, morze, mózg, mózdz, mroczi, mruganie, mucha, muzyka, mydło. Nacięcie, nalew i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincyi nadsyłać po rs. 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9.50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda na wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

TREŚĆ: Modlitwa Hektora. — Dzieci z Suteryny, (dok.) przez Bronisława Grabowskiego. — Przegląd malarski, przez Wiktora Gomulickiego. — Nowiny Paryżkie (dokoń.) — Hypnotyzm, przez dr. Józefa Starkmana. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 7-my i 8-my powieści, pod tytułem: *Administrator*, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej. — Przegląd mód. — 25 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 5 Сентября 1890 года.

PRZEGLĄD MÓD

(zamieszczony na ostatniej stronie).

Koronka (robota szydełkowa).

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 37.
Koronka wykonana krętymi nićmi. 1 kolej: * 28 powietrznych oczek, 1 potrójny słupek w 22 o., † 7 pow. o., 1 potr. sł. w 1 o. z tychże, 6 pow. o., 1 ścisłe łańc. o. w to samo o., w którym przerobiono poprzedni potrój. sł., od † 4 razy powtórzyć, potem 1 ścis. łań. o. w 1 potr. sł., 6 pow. o., 1 ścis. łań. o. w toż samo ocz., w którym poprzed. potr. sł. przer. Na listek: 6 pow. o. i 2 potr. sł., których górne żyłki razem przerobić w to samo o., w którym przerobiono ostatnie scis. łań. o., 1 ścis. łań. o. w następ. potrój. sł. pomiędzy 2 pow. o., 8 pow. o., 9 o. z 28 przyczepić, 4 pow. o., 1 ścis. łań. o.

w 4 z 8 pow. ocz., 7 pow. o., 1 ścis. łań. o. w to oczko, w którym przerobiono ostat. ścis. łań. o., 3 pow. o., 1 ścis. łań. o. w tenże potrój. sł. w którym przed 8 pow. o. wykonano 1 ścis. łań. ocz. 1 listek jak poprzedni, 1 ścis. łań. o. w następ. potrój. sł., 11 pow. o., 1 ścis. łań. o. w 4 z tychże, 3 pow. o., 1 ścis. łań. o. w potrój. słup., w którym przerobiono przed 11 pow. o. 1 ścis. łań. o. 1 listek, 1 ścis. łań. ocz. w następ. potrój. sł., 7 pow. o., 1 ścis. łań. o. w tenże potrój. sł., 6 pow. o., 1 sł. potrój. w to o., w którym przerobiono poprzednie ścis. łań. o., 6 pow. o., 2 ścis. łań. o. przedziel. 7 pow. o. w to o., w którym poprzednie ścis. o. przerobiono; 2 razy naprzemian: 1 listek, 2 ścis. łań. o. przedziel. 7 pow. ocz. w następ. potrój. sł., potem 1 listek, 1 ścis. łań. ocz. w ścis. o. znajdujące się przed 1 listkiem i jednocześnie w 22 z 28 pow. o., 3 pow. o., 1 ścis. łań. ocz.

w 18 z pierwszych 28 pow. ocz., od * powtórzyć, ale przy każdym powtórzeniu przyczepiać odpowiednio ocz. — 2 kolej: w prostej linii poprzedniej kolei, ciągle 1 ścis. o. w każde o. — 3 kolej: * 1 potrój. sł. w o. poprzedniej kolei, w którym wykonano ostatnie ścis. łań. o. następnego deseni 1-ej kolei; 3 pow. o., 1 podw. sł. i 1 sł. potrój, przedziel. 3 pow. o. w to o., w którym poprzedni potr. sł. był wykonany 8 o. opuścić, od * powtórzyć.—4 kolej: jak kolej 2.

Suknia dla panienki od 15—17 lat.

Rycina Nr 18 i 21 w Bl. Nr 37. (Kr. odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 39—50).

Suknia z materiału wełnianego niebieskiego z odpasowanym szlakiem białym. Spodnią spodniczkę 94 cent. dług. wykonać z białej alpagi, przedni bret w górnej części 48 centim. szer.



Nr 1. Suknia ślubna (do ryc. Nr 3). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 41—52).

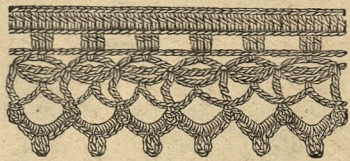
Nr 2. Suknia wizytowa z krótkim trenem. (Kr. i op. odwr. str. tabl.).

Nr 3. Ślubny wianek i welon (do ryc. Nr 1).

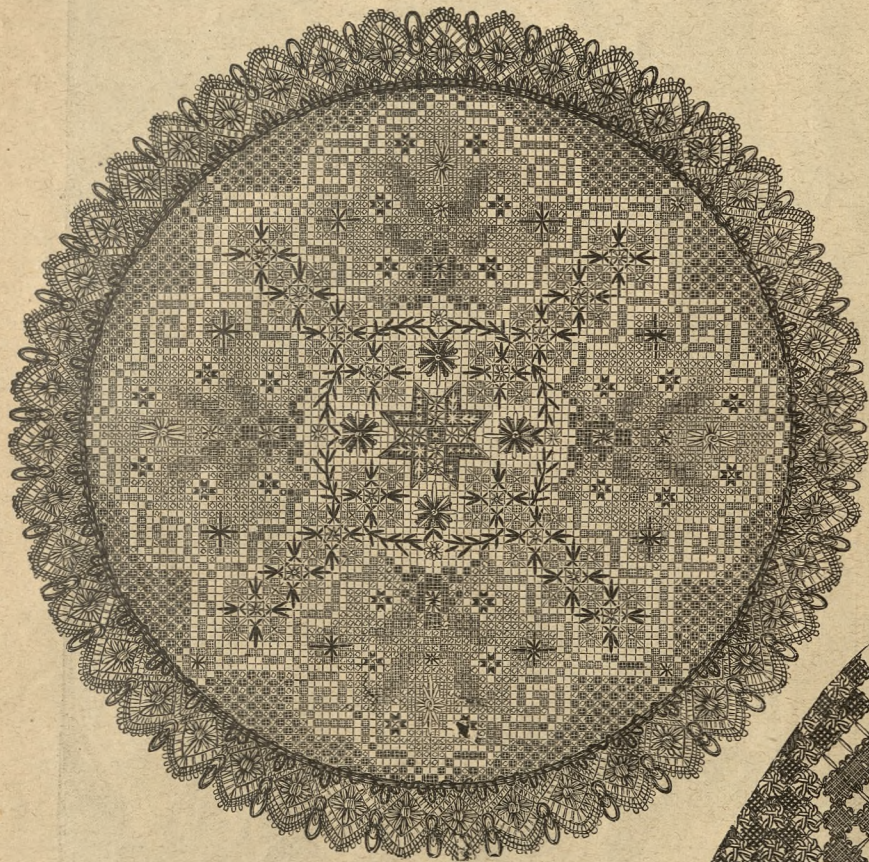
w dolnej 62 c., boczne w górnej 23 c., w dolnej 39 cen., tylnej zaś 62 c. szer. Dolną część otoczyć niebieskim materiałem na 14 cen. wysok., tylną zaś w odległości 26 cen. i 48 od górnego brzegu zaopatrzyć w tasiemki do ściągania. Wierzchnią spódnicę skrajając podług fig. 39 jedną część złożoną wzdłuż środka. (Należy uważać, ażeby szlak utworzył poprzecznie dolny brzeg). Zeszyć od 1 do 2, umocować każdy $\dagger$ na kropce, jako też $\dagger$ oznaczone lit. *a* na kropce *a*. Zmarszczyć górny brzeg pomiędzy fałdami z przodu na 30 c., z boków na 15 c., przyszyć do spodniej spódnicy i wykonać pasek 4 c. szer. z materiału białego, zapinany w tylnej części na haftki. Stanik kładzie się pod spódnicę. Skrajając z podszewki fig. 40, 44 i 45, z materiału fig. 43 po dwie części. Z tegoż materiału fig. 41, 42, 46, 47 i 49 po jednej części, jednak fig. 46, 47 i 49 złożone wzdłuż środka, a ostatnią z uwzględnieniem wystającego konturu spodniej części rękawów. Następnie skrajając z podszewki fig. 48 a ze szlaku fig. 50. Zmarszczyć po kilkakrotnie w równych odstępach i podług wskazówek fig. 41 i 42. Wykonać w prawej przedniej części z podszewki pierwszą zaszwękę, przyfastrygować przednie części z materiału do podszewki. Wykonać w prawej przed-



Nr 4. Serweta ozdobiona aplikacją.



Nr 5. Koronka (robota szydełkowa).



Nr 7. Serwetka (gipiura siatkowa do ryc. Nr 8).

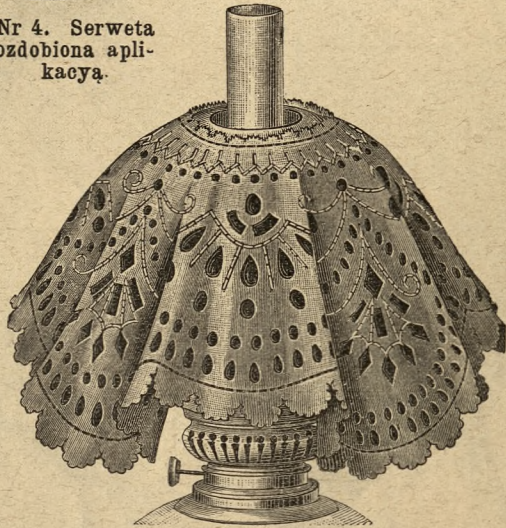
niej części zaszwękę tylną, w lewej zaś obydwie zaszwęki jednocześnie w podszewce i w materiale. Wyłożyć prawą część w przednim brzegu wzdłuż linii zgięcia, zmarszczyć takową w równych odstępach we wcięciu na 5 c. szer. Wykonać w obydwóch przednich częściach fałdy, mocując każdy $\dagger$ na kropce, w przednim brzegu podszewki przyszyć hafteczki do zapinania. Prawy przedni brzeg należy zapinać krzyżowo na lewym. Zaopatrzywszy pierwszy boczek podszewką zeszyć drugi boczek i plecy z podszewki podług cyfr. Zmarszczyć podług wskazówek plecy z materiału w fałdki w równych odstępach, przyfastrygować fig. 44 i 45, zeszyć plecy, boczki i przednie części i przyszyć kołnierzyk ze szlaku, zaopatrzony podkładem i podszewką od 9 do 13. W podszewce rękawów wykonać szew od 14 do 15, zmarszczyć dolny brzeg z materiału, przyfastrygować do podszewki, zeszyć rękawy od 16 do 17, przyozdobić mankietami, zapinanymi na gu-

ziczki i wszyć w stanik, zmarszczyć w szy je najprzód w górnym brzegu od * do *.

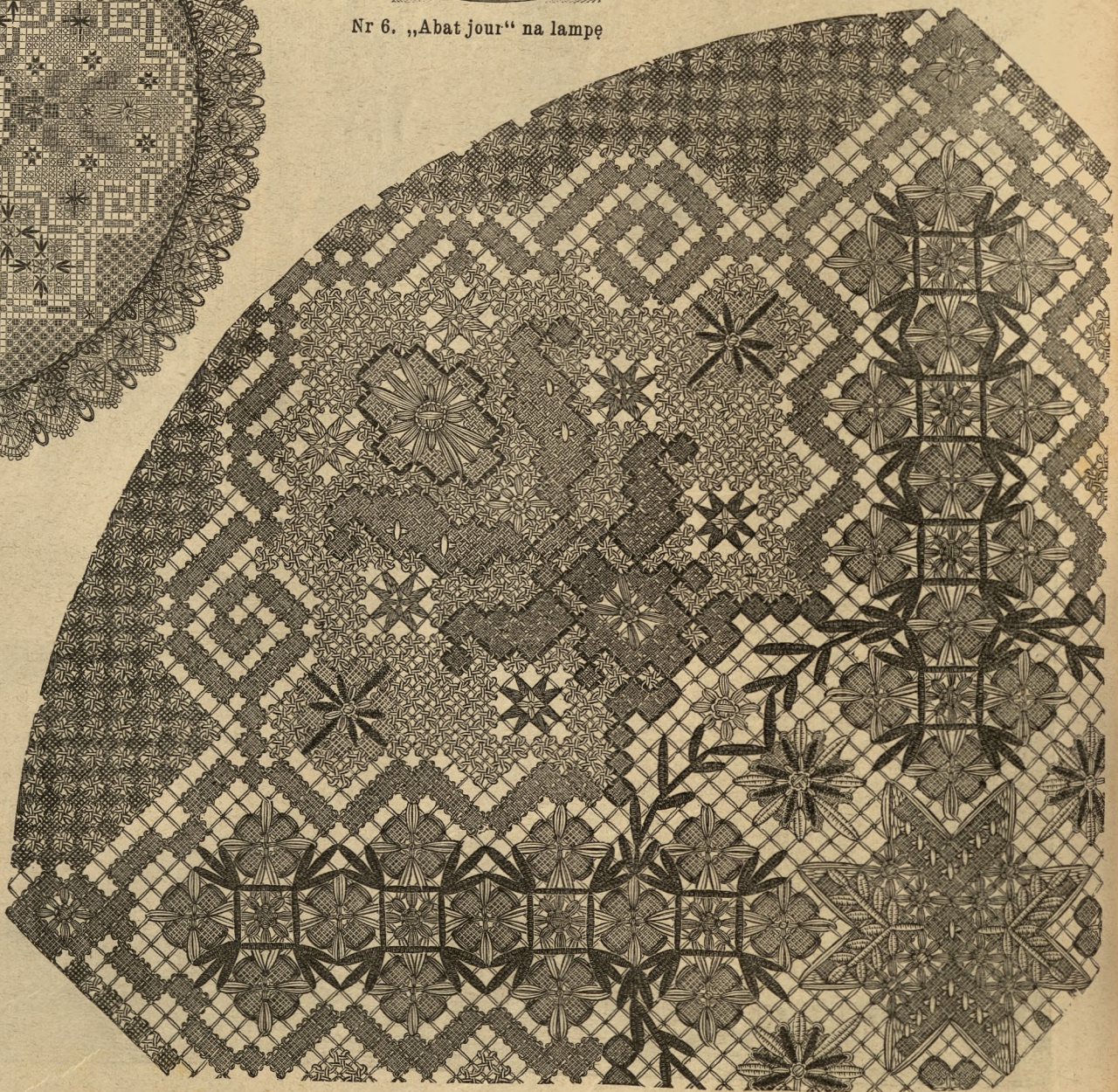
Suknia dla panienki od 14—16 lat.

Rycina Nr 19 i 22 w Bl. Nr 37. (Kr. odwr. str. tabl. Nr X, fig. 51—63).

Suknia z materiału wełnianego koloru oliwkowego, przybrana tegoż koloru „surah.“ Skrajając z alpaki koloru oliwkowego podług formy do 20 części zmniejszonej fig. 51 i 53 po jednej części złożonej wzdłuż środka, podług fig. 52 dwie części, podług cyfr połączyć i dolny brzeg obszyć materiałem na 7 c. wys. Wykonać w fig. 53 nacięcie, zaopatrzyć w tasiemki do ściągania, przybrać spódnicę po bokach podług wskazówek w fałdy a w tylnej części zmarszczyć. Co do wierzchniej spódnicy, skrajając z materiału wełnianego fig. 54 jedną część złożoną wzdłuż środka, połączyć i umocować trzy $\dagger$ na kropce i boki połączyć z odpowiedniej długości częścią tylną 194 c. obwodu. Tę ostatnią zaopatrzyć w rozporek, zmarszczyć górną część aż do * fig. 54 i wszyć w podwójny pasek 13 c. szer. wykonany z „surah.“ Stanik po dopełnieniu złożenia fig. 55 i 56 skrajając z podszewki podług fig. 55 i 59, oraz z materiału podług fig. 56 i 60 i z obydwóch materiałów podług fig. 57 i 58 po dwie części a podług fig. 61 jedną złożoną wzdłuż środka. Rękawy z „surah“ podług fig. 62 i 63. Podług wskazówek część przednią pokryć „surah“ w drobne zakładki aż do linii, następnie przednią część z materiału ułożyć w fałdy, trafiając każde dwa $\dagger$ na jedną kropkę. Wyłożyć część wzdłuż linii zgięcia, zmarszczyć w górę po kilkakrotnie pomiędzy dwoma liniami oraz



Nr 6. „Abat jour“ na lampę



Nr 8. Deseń na serwetkę Nr 7 (połowa wielkości oryginalnej).

wzdłuż pachy i przyfastrygować do podszewki odpowiednio do cyfr. Po zszyciu pleców z podszewką, pokryć takową pomiędzy liniami materiałem i wykonać fałdy wzdłuż linii zgięcia. Zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr i wszyć kołnierzyk z „su-rah“ od 30 do 34 układany z przodu aż do linii w drobne zakładki. Zeszyć rękawy od 35 do 36 i od 37 do 38, zmarszczyć od * do * i wszyć trafiając w 38 na 38 fig. 56. Zaopatrzyć stanik w hafteczki do zapin. a w miejscu oznaczonym * fig. 56 i 58, przyszyć kółeczka do przyczepiania spódnicy.

Czepeczek dla małych dzieci (robota szydełkowa).

Rycina Nr 23 i 27 w Bl. Nr 37.

Czepeczek wykonany krętami niemi. Brzeg zewnętrzny otoczony koronką w zęby, przez którą przeciągnięta wstążeczka do wiązania. Rozpocząć na założeniu 10 pow. o., które złączyć w kółko 1 ścis. łań. o. — 1 kolej: 3 pow. o., 30 słupków w kółko i 1 ścis. łań. o. w 3 pierwszych 3 pow. ocz. — 2 kolej: 31 ścis. o. w 31 o. poprzed. kolei i 1 ścis. o. w 1 z tychże. — 3 kolej: * 3 pow. o., 3 słup. w to samo o., które znajduje się przed 3 pow. o. i obydwie żyłki razem przerob., 3 słup., których górne żyłki razem przerob. w 3 z rzędu o., 3 pow. o., 1 ścis. o. w toż same o., w którym przerobiono poprzednie 3 słup., 5 pow. o., 1 ścis. o. w 3 z rzędu o., od * powtórzyć. — 4 kolej: 3 ścis. łań. o. w następ. 3 o., 1 ścis. o. w żyłkę, w którą przerobiono razem następ. 3 słup., 3 pow. o., 2 słup., których górne żyłki razem przerob. w tą samą żyłkę, 3 pow. o., * 1 ścis. ocz. w żyłkę, w której przerob. po-



Nr 9. Kapelusz z filcu.



Nr 10. Kapelusz z aksamitu.



Nr 11. Kapelusz z aksamitu.



Nr 13. Suknia z sukna (do ryc. Nr 2 w Bl. Nr 39). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr 1, fig. 1—15.

przedni słup., 3 pow. o., 3 słup., których górne żyłki razem przerob. w tą żyłkę, 4 pow. o., 1 ścis. ocz. w następ. 5 pow. ocz., 4 pow. o., 3 sł., których górne żyłki razem przerob. w żyłkę, w której przerobiono razem następ. 3 sł., od * powtórzyć, w końcu zaś zamiast 3 słup. i 3 pow. ocz. wykonać tylko 1 ścis. łań. o. w 3 z pierwszych 3 pow. o. — 5 kolej: ciągle naprzemian: 9 pow. o., 1 ścis. o. w następ. 4 pow. o. — 6 kolej: 3 pow. o., ciągle naprzemian: 10 sł.



Nr 12. Napiersnik z kołnierzem.

w następ. 9 pow. ocz., 1 słup. w następ. ścis. o., nakoniec 1 ścis. łań. o. w 3 pierwszych 3 pow. o. tejże kolei. — 7 kolej: * 3 pow. o., 1 słup. w 2 z rzędu o., 3 pow. o., 1 o. opuścić, 3 ścis. o. w następ. 3 o., od * powtórzyć, nakoniec 3 ścis. łań. o. w 3 pierwsze pow. o. tejże kolei. — 8 kolej: powracając na ocz. poprzedniej kolei * 3 pow. o., 1 słup. w środkowe o. następ. 3 ścis. ocz., 3 pow. ocz., 1 ścis. o. w następ. 3 pow. ocz., 1 ścis. o. w następ. słup., 1 ścis. o. w następ. 3 pow. o., od * powtórzyć. — 9 kolej: * 1 ścis. o. w następ. 3 pow. o., 5 pow. o., 1 ścis. ocz. w następ. 3 pow. o., 1 ścis. o. w następ. ścis. o., 5 sł. w następ. ścis. o., 1 ścis. o. w następ. ścis. o., od * powtórzyć, nakoniec 1 ścis. łań. ocz. w 1 ścis. ocz. tejże kolei. — 10 kolej: powracając na ostatnio wykonanych oczkach * 1 ścisłe oczko w ścis. ocz. znajdujące się przed następnymi 5 sł., 1 pow. o., 1 ścis. o. w następ. ścis. o., 4 pow. o., 1 słup. w następ. 5 pow. o., 4 pow. ocz., od * powtórzyć, nakoniec 2 ścis. łań. o. w 1 ścis. o. i w nast. pow. ocz. tejże kolei. — 11 kolej: powracając na poprzednich: 6 pow. o., * 1 ścis. o. w o. następ. 4 pow. o., 1 ścis. o. w następ. sł., 1 ścis. o. w następ. 4 pow. o., 3 pow. o., 1 słup. w pow. o., znajdujące się pomiędzy 2 ścis. ocz., 3 pow. o., od * powtórzyć, nakoniec 1 ścis. łań. o. w 3 o. z 6 pow. o. tejże kolei. — 12 kolej: powracając na poprzednich, 3 pow. o., * 3 słup. w następ. 3 pow. o., 3 słup. w następ. 3 ścis. ocz., 3 słup. w następ. 3 pow. o., 1 słup. w następ. słup., od * powtórzyć, nakoniec 1 ścis. łań. o. w 3 z pierwszych 3 pow. o. tejże kolei. Powtórzyć jeszcze na dno czepeczka jeden raz a potem pozostawić na tylny brzeg 50 słup., powtórzyć jeszcze 2 razy 3 do 12 kolei; przy każdym powtórzeniu 3 kolei zawsze w 6 z rzędu o., przy pierwszym powtórzeniu 6 kolei ciągle 6 słup., przy następ. dwóch powtórzeniach ciągle wykonywać 5 słup., w każdej zaś 7 kolei w 3 z rzędu ocz., oprócz tego w każdej 12 kolei ciągle 2 słup. w 3 pow. ocz. a ostatnią koleją otoczyć brzeg poprzeczny. Ko-

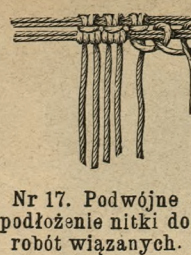


Nr 14. Stanik ozdobiony pasmanterią z pereł.



Nr 15. Stanik ozdobiony pasmanterią wełnianą

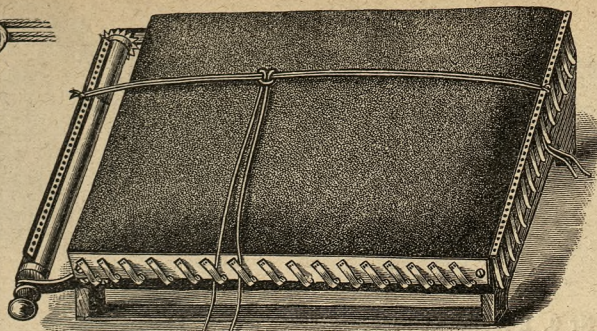
ronkę wykonać jak następuje: — 1 kolej: ciągle naprzemian: 1 słup. w 2 z rzędu o., 1 pow. o., na koniec 1 ścis. łań. ocz. w 1 słup. tejże kolei. — 2 kolej: (przez takową ma być przeciągnięta wstążeczka) 6 pow. o., ciągle naprzemian: 1 słup. w 2 z rzędu pow. o., 3 pow. o., na koniec 1 ścis. łań. o. w 3 z pierwszych 6 pow. o. tejże kolei. — 3 kolej: 1 ścis. łań. ocz. w następ. pow. ocz., 4 pow. ocz., 1 słup. w następ. pow. o., 1 pow. ocz., potem ciągle naprzemian: 2 słup. przedziel. 1 pow. o. w następ. 3 pow. o., 1 pow. o., na koniec 1 ścis. łań. ocz. w 3 z pierwszych 4 pow. o. tejże kolei. — 4 kolej: * 1 ścis. o. w następ. pow. ocz., 1 ścis. o. w następ. pow. o., 3 pow. ocz., 4 podwójne słup. w pow. o. znajdujące się nad następ. 2 słup., 3 pow. o., 1 ścis. o. w pow. ocz. nad następ. 2 słup., od * powtórzyć. — 5 kolej: * 1 ścis. ocz. w następ. ścis. o., 3 pow. o., 1 ścis. o. w następ. 3 pow. o., 3 pow. o., 1 ścis. o. w 2 z rzędu podw. słup., 2 razy naprzemian: 3 pow. ocz., 1 ścis. o. w następ. o., 3 pow. o., 1 ścis. o. w następ. 3 pow. o., 3 pow. o., następnie ścis. o. opuścić, od * powtórzyć; na koniec 1 ścis. łań. o. w 1 ścis. o. tejże kolei. Przy żyłkach 1 kolei, wykonać z uwzględnieniem ryc. na 2 rząd ząbków, jeszcze 2 kolejie jak dwie poprzednie.



Nr 17. Podwójne podłożenie nitki do robót wiązanych.



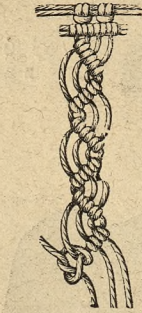
Nr 18. Wiązanie supełków



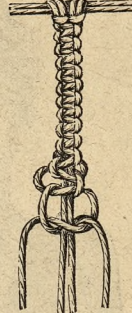
Nr 16. Poduszka do robót wiązanych i sposób związania nitki na nitce założenia.



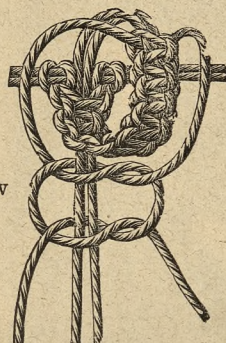
Nr 22. Rząd supełków kręconych.



Nr 20. Supełki dziergane.



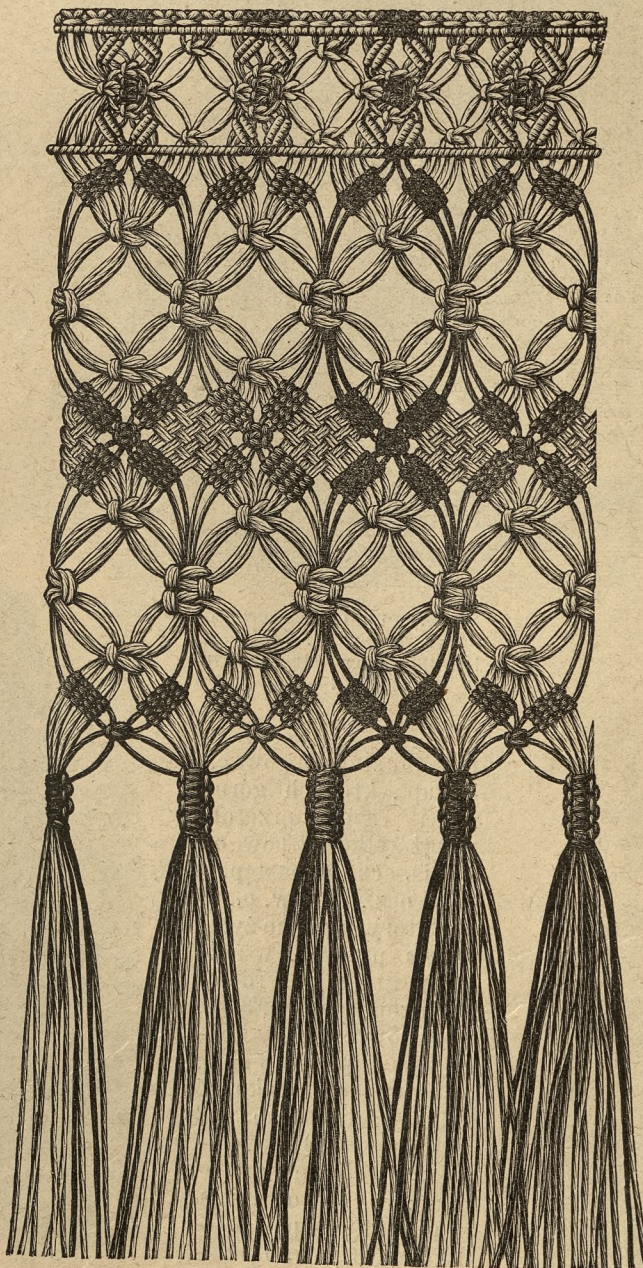
Nr 21. Supełki podwójne.



Nr 23. Muszka.



Nr 24. Supełek „Józefina.”



Nr 25. Szlak wykonany robotą wiązaną i zakończony frendzlą.



Nr 19. Supełki friwolitowe.

Przegląd mód.

Nowe materiały na zimowe kostiumy. — Okrycia i futra u p. Makowskiego. — Sposoby ich układu, nauka kroju Szpitalna 20. — Nowości paryżskie — wachlarze do teatru, chusteczki koronkowe, naszyjniki z jedwabiu.

Chociaż obiecują nam ciepły październik, jednak zimno zaczyna dokuczać, jakby w przeddzień zimy — należało więc przejrzeć co pan Makowski przygotował na zimę, aby nas nieprzygotowanych nie zastała. — Wszystkie prawie materiały na zimowe kostiumy są w kratę i nie sądzicie w kratkę, ale poprostu w kratę dużą — niektóre wzory mają kratę ćwierć łokcia (14 cent.) szeroką, a już mniej jak 6 do 7 cent. niema żadna. Musimy przyznać, że wszystko cośmy widzieli było wykwinętego gustu i tak: na kostiumy spacerowe to jest na ulicę dano miękką wełnę himalajską („bouclé”) w dużą kratę o mieszanych dzikich barwach gdzie niedźwiedź wystrzelał biały gruby punkt niby śnieg — i te właśnie nieładnie puszyste niby wyroby zowią „bouclé.” Na tenże użytek jest szewiot (cheviot) gruby, krata w dwóch tylko kolorach, ale zawsze fantazyjna w szersze i węższe paski składające się na kratę — granat z białym, czarny z wiśniowym, zielony z orzechowym. Takie suknie robią się zupełnie gładkie (genre tailleur) z fałdami z tyłu i pół trenem to jest tylny bryt tylko w przedłużeniu, który jak to już podałam zręcznie się ręką unosi. Dalej idzie sukienko tak zwane „petit drap,” to choć gładkie, jednak cieniutka jakby nitką przewleczone krata przechodzi przez materiał w oddzielnym niedostrzeżonym prawie kolorze. Zielony, nitka czarna, ponsowa lub brązowa i t. p. Na takim samym materiale są pasowane suknie w tak zwane pastylki „pastilles” okrągłe koła wielkości 2 kop., które wypukłym haftem naśladują baranki astrańskie. Suknie takie mają przód deseniowany lekko drapowany, bluzkę i górną część bufiastych rękawów. Dalej idą tańsze gładkie materiały, na gładkim tle rzucik lub kwiatki niewidoczne tego samego koloru co tło. Najstrojniejsze suknie wizytowe wełniane są popelinowe w jedwabną dużą kratę w kilkunastu odmianach, naprzykład tło zielone, krata jedwabna złota i czarna, cieniutkie, — czarne tło — krata ponsowa i brązowa i tym podobnie, suknie takie robią się stanowczo z aksamitnemi lub jedwabnemi rękawami w kolorze tła, bo to mniej krzyżące — można jednak i w kolorze jedwabnej kraty a będzie jeszcze strojniejsza. Na okrycia zimowe i futra, które stanowczo już się tylko wyjątkowo czarne noszą pokazywano nam śliczne rzeczy. Najładniejsze na okrycia są gładkie „draps des dames” w najpyszniejszym gatunku przybrane materya-

łem naśladującym drobniutkie czarne baranki — przed 30-ma laty materiał ten był również bardzo w użyciu, ale był to grubszy baranek — naturalnie wszystko się doskonali. Z takich baranków robią nawet całe żakiety. Wełny przeznaczone na futra i okrycia grube ciepłe są wszystkie deseniowane np. na popielato-stalowym tle gałęzie i kłosa czarne, wyglądające jak jedwabne, lub na brązowym czy granatowym czarne — wreszcie „fond sur fond,” jednakowy kolor deseni co i tło — są i pyszne odmiany czarnych wzorów, bo naturalnie kolor czarny jest tak lubiany, że nosić go nawet wbrew modzie nie przestaną nigdy. Na owe rotundy duże, podbite ponsową flanelą grubą, zastępujące wybornie futro wieczorne, mianowicie przy powozie, pokazywano nam grube, włochate trochę himalaje, naturalnie w kratę różnych dzikich kolorów mieszanych z białym.

Dosyć na teraz, zanim pan Makowski przywiezie owe bogate rzeczy mody zwane „fantaies,” które jedynie stanowią zbytek toalet, gdyż po za niemi wobec tylu fabryk w Królestwie i Cesarstwie, można się bardzo ładnie byle gustownie i modnie, tanio ubierać, szczególnie robiąc suknie w domu, przy tyle ułatwionym dziś kroju. Przypominam tu paniom, chcącym się praktycznie a prędko nauczyć tej specyalności, że jedną z najlepszych nauczycielek w tym kierunku jest wykładowca w pierwszorzędnym zakładach naukowych naukę kroju, oprócz tego i u siebie i prywatnie w domach za stosunkowo bardzo niską opłatą p. Bogowska-Frieman, ulica Szpitalna róg Chmielnej Nr 20 mieszk. 18. Krój pani Frieman jest paryżki, bo tam się uczyła sama, a jak wiemy, że to najlepszy.

Z nowości paryżskich mamy do zanotowania, iż w Paryżu noszą do teatru ogromne wachlarze czarne tiulowe o cieniutkich żeberkach. Mnóstwo chusteczek tiulowych, koronkowych, gazowych zdobi stanik zarzucone fantazyjnie. Widzieliśmy taką paryżką zarzutkę, złożoną z karczka aksamitnego, ponsowego w dziergane spiczaste zęby, z pod których spadała szeroka łokciowa falbana ponsowa, gazowa, pelą haftowana. Wielką nowością stanowią jedwabne puszkki „colier de soie” zupełnie jak łabędzie, zrobione z czystego luźnego krepowanego jedwabiu, które okalając z przodu szyję, wiążą się z tyłu na bardzo długie wstążki, związane w kokardę, tak zwane „suivez moi.” Puszki takie przy chłodzie jesienią doskonale dopełniają okrągłego kapelusza, a są we wszystkich jasnych kolorach. Zapewne je wkrótce przyswoi nam magazyn pani Bosz, która właśnie wyjechała do Paryża po zimowe modele.

L. C.

Przepisy gospodarskie.

Brukiew.

Obrać brukiew nie zbyt dużą starannie, włożyć w rondel głęboki, nalać zimną wodą i zagotować raz. Wodę odlać, nalać ciepłą świeżą i włożyć kawałek młodej słoniny, posolić, niech się gotuje razem, póki nie zmieknie. Wtedy pokrajać ją w drobną kostkę, jako też i kawałek tej słoninki, biorąc na 4 osoby 2 brukwie i ćwierć funta słoniny. Łyżkę masła przesmarzyć z łyżką maki na złotą, rozprowadzić smakiem, w którym się brukiew gotowała włożyć brukiew wraz ze słoninką, wysypać pełną łyżkę cukru i poddusić jeszcze razem. Kto nie lubi słoniny niech ją pokraja w plasterki i ubierze tylko po wierzchu salaterkę z jarzyną.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa pomidorowa „purée.
2. Sztukamięsa biała z ogórkami.
3. Główna cieleca z sosem „financière.
4. „Macédoine” z jarzyn z grzankami.
5. Kuropatwy z kompotem z gruszek.
6. Ser.

UWAGA.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze służy też do N-ru 39.